Odgłosy R. 21: 1978

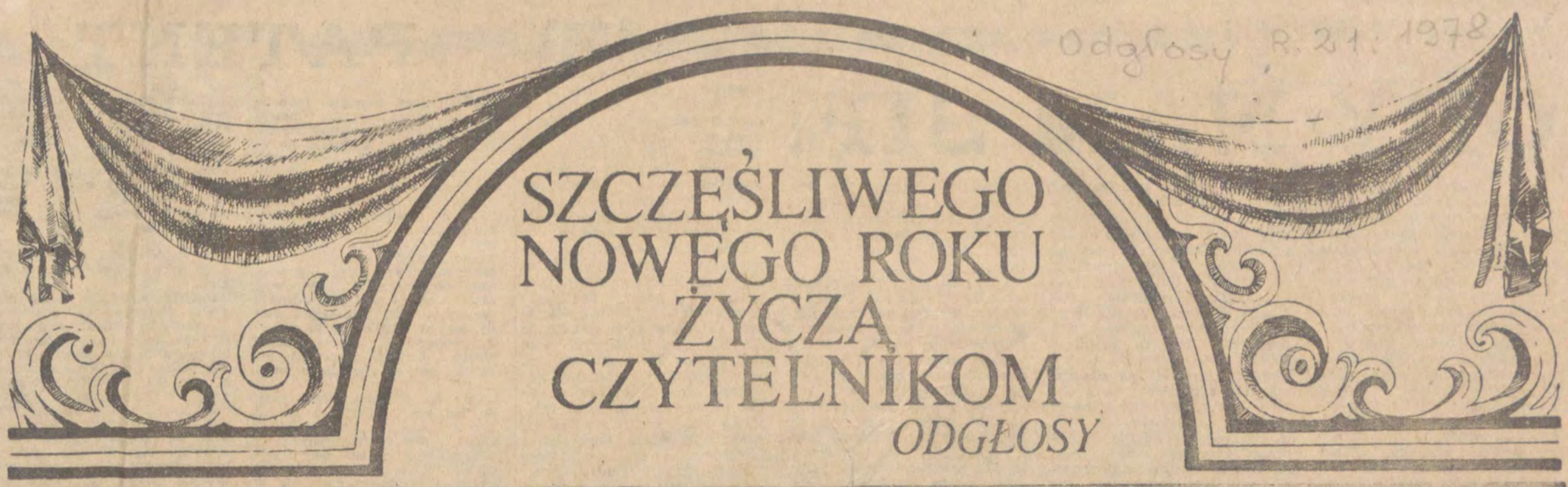

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 1 (1047)
1 STYCZNIA 1978 R.
CENA 3 Zł

JAN BĄBIŃSKI

POKOLENIA

czytaj str. 5

ANDRZEJ BLAJER

terror czy terroryzm?

czytaj str. 14

JERZY PORADECKI

kłopoty firmy portretowej

czytaj str. 6

ŁODZIANIE 1977

Plebiscyt „Odgłosów" – „ŁODZIANIE ROKU" ma już za sobą niemałą tradycję. Już po raz dziesiąty prezentujemy naszym Czytelnikom dziesięciu łodzian – reprezentantów wszystkich nieomal dziedzin życia kulturalnego i społecznego, którzy dla miasta zasłużyli się w sposób szczególny.

Tak więc w ciągu dziewięciu lat przedstawiliśmy w tym cyklu dziewięćdziesiąt sylwetek artystów, uczonych, działaczy, sportowców... Tysiące Czytelników łódzkiej prasy, bowiem w różnych latach prowadziliśmy nasz plebiscyt z innymi gazetami codziennymi, wybierało trójkę „Łodzian Roku". Ale przecież ów plebiscyt ma charakter umowny. Na miano „Łodzianina Roku" zasługują wszystkie z prezentowanych tu osób.

Zdajemy sobie sprawę, że nasza lista pretendentów nie może być pełna. Sądzimy jednak, że nasz plebiscyt pozwoli Czytelnikom bliżej poznać pracę ludzi szczególnie dla miasta zasłużonych.

Tak jak w poprzednich latach, każdy z Czytelników wybiera trzech pretendentów z ogłoszonej w „Odgłosach" listy. Na załączonym kuponie prosimy zakreślić znak X obok wybranych przez siebie trzech nazwisk kandydatów i nadesłanie do dnia 31 STYCZNIA 1978 r. na adres: Redakcja „Odgłosów", ul. MICKIEWICZA 12, 90–438 Łódź.

Wśród wszystkich uczestników głosowania rozlosujemy nagrody w bonach oszczędnościowych o następującej wartości: nagroda I – 2500 zł, nagroda II – 1500 zł, nagroda III – 1000 zł oraz pięć wyróżnień książkowych.

STRONA 8–9

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

OBY NAM SIĘ!

Raz jeszcze przejrzałem wycinki z rozmaitych gazet ubiegłorocznych i doszedłem do bardzo optymistycznego wniosku. Rok, który właśnie mija, obfitował w dobre pomysły, napracowały się, nie można powiedzieć, nasze tęgie główki i to we wszystkich chyba ważnych dziedzinach naszego życia.

Święta za pasem, więc pewnie będzie dobrze, jeżeli krótki z konieczności przegląd najcelniejszych pomysłów rozpocznę od gastronomii. Myślę, że słusznie uczyniła „Gazeta Współczesna" ogłaszając konkurs na nazwę święta ziemniaka. Daleko słuszniej niż łódzki „Głos Robotniczy", który ogłosił nam takie hasło — wezwanie: „Dzień Działacza Piłkarskiego — świętem wszystkich". Dlaczego wszystkich? Znam wielu ludzi, którzy nie piłkę kopią, ale dołki pod bliźnimi, kopią także zwierzęta, albo groby dla siebie samych, po cóż tedy mieliby odbierać chleb naszym bezinteresownym chłopcom ze wszystkich lig? Ziemniak to co innego, jest w powszechnym użyciu. Na konkurs wpłynęło mnóstwo propozycji. „Ziemniakobranie", „ziemniakiada", „kartoflinki", „ziemniakodary", „ziemniak — królem jesteś" (hasło nie dla demokratycznego społeczeństwa), zwyciężyło jednak proste, swojskie — „święto ziemniaka". W dniu tego święta, jak należy przypuszczać, nasza gastronomia rzucać będzie na uspołecznione stoły — ziemniaki duszone, purée, po bretońsku, litewsku, białorusku, w mundurkach, po cywilnemu, z wody, zapiekane, na tłuszczu oraz frytki, a także pod postacią płynów, produkowanych przez miłośników ziemniaka w piwnicach i na strychach. Święto ziemniaka z pewnością zaćmi umierające i lokalnie ograniczone do Zielonej Góry święto wina, które przestało już u nas rosnąć, a ziemniak się trzyma.

Zbliżony do sfer najlepiej poinformowanych krakowski „Przekrój" podał w swojej rubryce kulinarnej, co następuje: „Pod elegantszą nazwą „gryf" kryje się wołowe wymie, które można zupełnie smacznie przyrządzić". Woły z wymionami — toż to światowa sensacja, przełom! Nie ma mowy wiecej o braku mleka, masła czy serów, a i nowe danie mięsne pojawi się na naszych stołach. Najlepsze są zawsze pomysły proste.

Kraków wcale nie jest takim konserwatywnym miastem, jak to się zwykło w Warszawie mówić. W sklepie garmażeryjnym przy dworcu kolejowym można było kupić kiełbasę, opakowaną w wypełniony już formularz, świadczący o dużej znajomości psychologii konsumenta: „mogiła nr 78, długość mogiły 30 m, mogiłę otwarto częściowo. Na przestrzeni jednego metra w górnym słoju znajdowały się 4 zwłoki, wszystkie bez odzieży, szkielety z pozostałością miękkich tkanek, rozpadające się w stawach na poszczególne kości. Uszkodzeń kości nie stwierdzono". Po przeczytaniu takiego formularza wielu amatorów wędlin przestanie widzieć sens życia w żołądku, zwłaszcza, że można owijać przetwory mięsne w opisy śmiertelnych chorób trzustki, wątroby czy jelit grubych. Znakomity pomysł zapewnia równowagę rynkową z lekką przewagą podaży. Gastronomicy są w modzie! Nie tak dawno temu wywieszono na Osiedlu Chomiczówka, przedmieściu stolicy, ogłoszenie następującej treści: „Samotna, pracująca pracownica „Delikatesów" (dział mięsny) poszukuje pokoju". Według nie potwierdzonych, ale pewnych doniesień — przebywa obecnie na leczeniu, z wielkim trudem wydobyto ją pół żywą spod stosu ofert.

Pozostańmy jednak jeszcze przez chwilę w Krakowie, który tak ostro ruszył do przodu, goni, a nawet przegania postęp. „Dziennik Polski" zajął się w tym roku kapitalną sprawą rozrodczości kotów. Plaga ta dotknęła nawet centrum Nowej Huty. Zaalarmowany Oddział Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami rozpoczął energiczną akcję świadomego macierzyństwa, sprzedaje mianowicie w każdy poniedziałek i czwartek, po bardzo niskich cenach, pigułki antykoncepcyjne dla kotów. Kiedy się koty „marcują", trzeba samiczkom przez cztery dni pod rząd wrzucać po pół pastylki do mleka. Skutek gwarantowany.

Krakowski pomysł warto, jak sądzę, upowszechnić i rozszerzyć chociażby na mrówki, które rozprzestrzeniły się w wielu miastach, szczególnie w Warszawie, gdzie pleni się ich faraońska odmiana. Samca od samiczki odróżnić łatwo. Bierze się ledwie widoczną ocipinkę cukru, rzuca między mrówki: sprawdza — jeśli chwyci, to samiec, jeśli zaś chwyciła — to naturalnie samiczka. Nie wiadomo tylko, w jakiej ilości i gdzie podawać środki antykoncepcyjne, no, ale nie z takimi trudnościami dawaliśmy sobie radę.

Łódź nie ma się co równać z Krakowem, nie stoi jednak w miejscu. Pomysł nazwania największego w kraju magazynu obuwia imieniem Hermesa nie wydaje mi się udany. Ten bożek podróżnych chodzi boso, albo co najwyżej w sandałach, tak też bywał przedstawiany. No, ale miejmy nadzieję, że klienci wiedzą o Hermesie jeszcze mniej niż nasi handlowcy. Wielką natomiast inwencją błysnęła łódzka spółdzielnia „Pumestol", mocno zasłużona w produkcji bubli. Jak poinformował wścibski „Express Ilustrowany", dyrekcja spółdzielni znalazła znakomity sposób na często i gęsto zgłaszane reklamacje. Mianowicie zniknęła, a raczej zeszła do podziemia. I teraz jest tak — punkty usługowe działają, ale nowego adresu dyrekcji nikt podać nie umie. Zupełnie jak z duchami, wielu o nich mówi, ale nikt nie widział. Podobno adresu szukają najenergiczniej inni producenci bubli, którzy także przechodzą do konspiracji, ale chcą twórcom znakomitego pomysłu podziękować.

Chciałbym jednak skończyć z podziałami na miasta czy gminy, dobre pomysły są bowiem w gruncie rzeczy niepodzielne. Oto, na przykład „Dziennik Bałtycki" doniósł o wielkiej jeremiadzie mieszkańców Orłowa z powodu telefonów służbowych i prywatnych. Nie łączą, a jak się już połączenie trafi, to z przysłowiowym zakładem pogrzebowym, albo ogrodem zoologicznym. Obecnie mniej już skarg abonenci w dalszym ciągu nie mogą się dodzwonić, słyszą za to doskonale program radiowy. Rzecz prosta, wrogie nam stacje w grę nie wchodzą. Nie mogąc dać połączeń stara się poczta przynajmniej o godziwą rozrywkę kulturalną. Ten nie pomysł, a raczej jego ideę, podchwyciła Telewizja, która także nie zawsze daje swoim abonentom to, czego by chcieli. Eksperyment przeprowadzono w Bełchatowie i słusznie, boć to miasto nie mniejsze ma przed sobą perspektywy niż telewizja. Szedł właśnie film seryjny o księciu Marku Viscontim, przy którym ludzie zasypiali, póki nie usłyszeli operatora dźwigu z kombinatu, który klął w żywy kamień cały ten bałagan, a kierowca ciężarówki grzecznie mu basował. Kojaka natomiast wzbogacono meldunkami z milicyjnych radiowozów, z których wynikało jasno, że nasi chłopcy lepiej sobie radzą od amerykańskich kolegów. Dodatkowej radości dostarczała nasza wysoka technika, osiągając szczyty właśnie w Bełchatowie.

Przed sylwestrem i karnawałem warto zwrócić uwagę najpierw na pewien fakt, a potem — pewną deklarację programową. W Oleśnicy-Ratajach usłyszano przy sobocie po robocie głęboki, zachrypły bas, dobywający się z dna komina wysokiego na 25 metrów. Zawołano straż. Ponieważ wszelkie próby wyciągnięcia człowieka na sznurku zawiodły, spuszczano wodę mineralną i zsiadłe mleko, jak to u nas we zwyczaju bywa. Ludzie, poruszeni faktem, że chłop prócz normalnego kaca niczego złego nie nabawił się, wybili w czynie społecznym dziurę u nasady komina. Wesołego człowieka wyciągnięto i oczyszczono z sadzy. Okazało się, że zalany w pestkę pijaczyna to znany wszystkim elektryk, nad którym wyraźnie, jednoznacznie czuwała opatrzność, pozwalając mu ustanowić rekord świata w skoku z góry na dół w stanie nieważkości.

Roli opatrzności w szczęśliwych losach pijaków nie doceniał początkowo surowy zakładowy Zarząd Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego przy fabryce lokomotyw w Chrzanowie, który ostro zwalczał alkohol i z tego powodu narażał się na dość powszechne kpiny. Na szczęście członkom Zarządu wpadł do głów szczęśliwy pomysł, opublikowany w zakładowym organie „Przegląd Wiadomości" w formie deklaracji: „Otóż nie będziemy odsądzać od czci i wiary każdego, kto łyknie kieliszek. Po prostu dlatego, że — czy się to komuś podoba czy nie — alkohol zakorzeniony jest w obyczajowości naszego społeczeństwa. W naszej propagandzie przeciwalkoholowej będziemy zachowywali umiar i zmysł rzeczywistości".

Rzeczywście, trochę kpiny i już Komitet Przeciwalkoholowy trzeźwieje ku wielkiej radości dudlarzy, cyckoni, spirytystów, trąbochłajów, rzygulców, pragnących dusz, monopolistów, gąbek, gluglarzy, kirusów, bumbaków, wielotysięcznej rzeszy kibiców sportowych, a także personelu Izby Wytrzeźwień. Dobry prognostyk na rok przyszły. Oby nam się!

PATENT

Interesujące zjawisko zaobserwowano przed laty w maszynach i urządzeniach wykorzystujących ciecz w ruchu. Z nie ustalonych przyczyn przedwcześnie zużywały się śruby okrętowe, łopatki w turbinach wodnych, tarcze i stożki nożowe w młynach papierniczych. Niszczeniu ulegały naczynia i rury, przez które płynęła ciecz. Oczywiście, podjęto szczegółowe badania naukowe, które doprowadziły do wykrycia „winowajców". Okazały się nimi drobne pęcherzyki pary powstające wtedy, gdy w wodzie lub innej cieczy jednorodnej, w ciągu odpowiednio długiego czasu ciśnienie spadnie poniżej ciśnienia parowania.

Gdy np. ciśnienie cieczy znajdującej się w zwężeniu kanału przepływowego wystarczająco zmaleje, wtedy ciecz paruje i tworzą się pęcherzyki pary nasyconej. Wystarczy teraz, że pęcherzyki te przemieszczą się w obszar o zwiększonym ciśnieniu (np. rozszerzona część kanału), a następuje tzw. implozja, czyli „wybuch do wnętrza". Ścianki pęcherzyków nie wytrzymują ciśnienia napierającej ze wszystkich stron cieczy i gwałtownie pękają. Jednocześnie para ulega natychmiastowemu skropleniu. Tworzy się wówczas tzw. fala ciśnienia, rozchodząca się kuliście w cieczy. Przy dużej ilości bąbelków wiele z nich „wybucha" tworząc liczne fale, które nakładają się na siebie i często wzmacniają wzajemnie. Powstają wtedy chwilami olbrzymie ciśnienia sięgające niekiedy nawet 10 tysięcy atmosfer. Fale tych ciśnień uderzając w ścianki kanału lub w ciała zanurzone w cieczy potrafią rozsadzić kryształy nawet najtwardszych metali. Opisane zjawisko nazwano kawitacją. W wielu laboratoriach naukowych prowadzi się badania dążąc do maksymalnego zmniejszenia strat. Stosuje się w tym celu materiały o dużej odporności na działania mechaniczne, a także zmniejsza się powstające różnice ciśnień specjalnie dobierając kształty kanałów przepływowych.

Naukowcy z **Politechniki Łódzkiej** postanowili pójść dalej: nie tylko poskromić, ale nawet oswoić niesforne bąbelki pary, nie tylko zapobiegać skutkom kawitacji, ale wprost przeciwnie — wywoływać to zjawisko i wykorzystywać jego skutki dla dobra człowieka. Nie jest to zagadnienie proste, gdyż wymaga odmiennego, niż czyniono to do tej pory, podejścia do problemu. Patrząc na nieprzyjaciela trzeba dojrzeć sprzymierzeńca. Niech silne i groźne dotychczas fale rozchodzące się w cieczy wykonują jakąś pożyteczną pracę — niech np. rozdrabniają zawiesiny lub przyspieszają reakcje chemiczne.

Łódzcy naukowcy „zarazili" swą ideą dyrekcję **Fabryki Maszyn Papierniczych „ZEMAK-FAMPA" w Cieplicach**, która, mimo ryzyka, zdecydowała się finansować prace naukowe. Początkowo zbudowano stanowisko badawcze w **Instytucie Maszyn Przepływowych PŁ.** W przeciągu półtora roku badano przebieg i parametry zjawiska kawitacji w wodzie, m. in. rozkłady ciśnień, opory przepływu, kształty kanału (kawitatora) i inne. Dalsze prace laboratoryjne i tzw. proby półtechniczne prowadzono już na masie makulaturowej w **Instytucie Papiernictwa i Maszyn Papierniczych Politechniki Łódzkiej.**

Pozytywne wyniki badań pozwoliły przystąpić do opracowania projektu urządzenia przemysłowego służącego do rozdrabniania masy makulaturowej. Prototyp takiego urządzenia zbudowała cieplicka „FAMPA" według projektu wykonanego w Instytucie Papiernictwa i Maszyn Papierniczych PŁ. Od powszechnie stosowanych dziś urządzeń wirnikowych różni się ono głównie tym, że masę makulaturową rozwłóknia **selektywnie**, tzn. nie rozdrabnia materiałów niewłóknistych, np. różnego typu tworzyw sztucznych znajdujących się w makulaturze, dzięki czemu możliwe jest łatwe oddzielenie ich od rozdrobnionej masy. W efekcie **z takiej samej makulatury można otrzymać lepszy papier.** Mała energochłonność, niski koszt wykonania i prostota budowy — to dodatkowe zalety urządzenia, którego prototyp już dziś stoi w Politechnice. Zakończenie prac badawczych przewidziano na koniec przyszłego roku.

Głównymi twórcami opatentowanego już, bezwirnikowego urządzenia są **prof. dr inż. Stanisław KUCZEWSKI** z Instytutu Maszyn Przepływowych PŁ — autor badań podstawowych zjawiska kawitacji oraz **dr inż. Tomasz TYRALSKI** z Instytutu Papiernictwa i Maszyn Papierniczych PŁ. Duży udział w powstaniu urządzenia ma także **mgr inż. Zbigniew Krzewiński** z „FAMPY" oraz doradca i konsultant w sprawach technologicznych **prof. inż. Edward Szwarcsztajn z PŁ.**

Rozwłóknianie masy makulaturowej — to zaledwie obiecujący wstęp do dalszych zastosowań fal wywołanych przez „wybuchające" pęcherzyki. Przewiduje się, że zjawisko kawitacji można będzie wykorzystać w przyszłości do mielenia mas papierniczych, do przyspieszania reakcji chemicznych np. w przemyśle celulozowym, do zapewnienia równomiernego rozproszenia włókien w całej wstędze papieru, a także do formowania papieru z zawiesiny o większym stężeniu, co pozwoli zaoszczędzić duże ilości wody w tej, jak wiadomo, bardzo „wodochłonnej" gałęzi przemysłu.

Realne wydają się także możliwości zastosowania kawitacji w przemyśle włókienniczym, chemicznym i farmaceutycznym. Zresztą jest jeszcze zbyt wcześnie, by precyzyjnie określić wszystkie korzyści, jakie może przynieść oswojenie pęcherzyków.

PAWEŁ PATORA

FAIR PLAY

Nie tak dawno głośna była sprawa sześciu zawodników z nowotarskiego „Podhala", którzy to zawodnicy w sposób dość szczególny zademonstrowali swój sprzeciw wobec nowego regulaminu klubowego. Najpierw wszyscy ostro potępili tę szóstkę zarzucając jej, że odmówiła gry na lodowej tafli, bo chciała więcej nieniędzy. Zaczęto z tego zarzutu wycofywać się, kiedy wyszło na jaw, że sprawa szła nie tylko o pieniądze i nie wszystko było tak, jak to sobie niektórzy wyobrażali. Teraz cicho jest jakoś koło szóstki z Nowego Targu, a byłoby nie bez racji napisać o nich. Polska Federacja Sportu uznała bowiem ich stanowisko. Zdjęto z Walentego Ziętary odium prowodyra i dożywotnią dyskwalifikację. Zawodnik ten już trenuje. Cała szóstka za niezbyt formalne zachowanie, za formę protestu podyktowaną raczej nerwami niż rozumem, otrzymała zawieszenie do końca 1977 roku.

Ledwie przebrzmiała sprawa szóstki z Nowego Targu a już pojawiła się nowa sprawa. Tym razem łódzka bo dotycząca zawodnika „Włókniarza" z Łodzi — Mieczysława Nowickiego. Zawodnik ten zawinił tym, że nie przyjechał do Krynicy na zgrupowanie i tym samym przepadł jako kandydat do kadry kolarskiej. Wyciągnięto z tego wniosek nazbyt pochopny: zaszumiało chłopakowi w głowie, lekceważy trenerów i kolegów, wiadomo mistrz... Tymczasem Mieczysław Nowicki miał zgodę na opuszczenie zgrupowania w Krynicy. Uważał, że ostateczną decyzję pozostawiono jemu, że jeśli będzie mógł, to przyjedzie. A ponieważ miał poważne kłopoty rodzinne, uważał, że jest bardziej potrzebny w Łodzi. Może postąpił o tyle niewłaściwie, że o swoim postanowieniu nie powiadomił trenerów przebywających na zgrupowaniu w Krynicy. Mimo to nie zasłużył sobie aż na dyskwalifikację.

O poczynaniach niektórych sportowców pisze się u nas wiele i nieustannie. Na przykład gazety sportowe i telewizja nie omieszkały poinformować wszystkich o stanie zdrowia Grzegorza Lato, a „Express Wieczorny" nie omieszkał donieść swoim czytelnikom o świątecznych zamierzeniach Kazimierza Deyny. W zasadzie dość dobrze orientujemy się w życiu piłkarzy. Trochę już mniej w życiu hokeistów, znacznie mniej w życiu siatkarzy. Janusz Peciak bezapelacyjnie utrzymuje się wśród kandydatów do pierwszego miejsca w plebiscycie „Przeglądu Sportowego". I to właściwie wszystko.

Nie chce nikogo namawiać, aby nieustannie pisał o Januszu Peciaku czy Irenie Szewińskiej lub Wojciechu Fibaku. Warto jednak od czasu do czasu interesować się tym, co dzieje się u mistrzów z innych dyscyplin sportu. Oto bowiem nieoceniony „Sztandar Młodych" doniósł o zadziwiającej sprawie. Dwukrotny mistrz olimpijski — Józef Zapędzki przez cały rok nie uczestniczył w żadnych zawodach strzeleckich, a co gorsza — został wyrzucony ze swego macierzystego klubu WKS „Śląsk".

Ma obecnie 48 lat, jest emerytowanym podpułkownikiem WP i rozpoczął karierę nauczyciela wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej nr 110 we Wrocławiu. Ma za sobą 28 lat służby wojskowej, w tym 16 lat przynależności do WKS „Śląsk". Nie zamierzał wcale kończyć kariery sportowej. Zapowiadał nawet, że za niepowodzenie w Montrealu weźmie odwet w Moskwie. Ale ta zapowiedź nie ma dziś już żadnego znaczenia. Zamiast „dziękuję" na zakończenie kariery, której zresztą wcale nie zamierzał kończyć, usłyszał: „wyrzucam was, nie jesteście zawodnikiem w moim klubie". Wprawdzie prezydium zarządu klubu WKS „Śląsk" starało się naprawić tę jednoosobową decyzję prezesa, ale bez większego powodzenia.

Ostatnio wiele mówi się o grze fair play, szczególnie po założeniu nieprzepisowych kołków przez zawodników gdyńskiej „Arki". (Za co konsekwencje poniósł trener Janusz Pekowski, choć wróble na dachu ćwierkają, że był to tylko pretekst, aby zarząd klubu mógł pozbyć się konfliktowego trenera). Wiele nadziei pokłada się w „Karcie praw i obowiązków sportowca", która to karta podnosi rangę samorządu zawodników. Można przypuszczać, że samorząd zawodników w wielu sytuacjach będzie miał zbawienny wpływ na kształtowanie postaw, na rozwiązywanie sytuacji konfliktowych, że będzie pomagał w pracy wychowawczej. Pod warunkiem jednak, że będzie liczył się w opiniach i polityce klubowych działaczy.

Zastanawiające jest bowiem to, że konflikt między nowotarską szóstką a klubem — po długich zaresztą dyskusjach prasowych — rozwiązała sprawiedliwie Polska Federacja Sportu. Ale jeszcze bardziej jest zastanawiające to, że w sprawie Mieczysława Nowickiego milczy Polski Związek Kolarski. A w sprawie Józefa Zapędzkiego milczą w zasadzie wszyscy.

Jeśli wymaga się od zawodników fair play, to trzeba te same wymagania stosować również w stosunkach między klubami a zawodnikami. Zawodnik długimi latami pracuje na swoje sukcesy. Zdobywa tytuły i medale, które również honorują klub. Przekreślić to wszystko można jedną nieodpowiedzialną decyzją. Tylko czy warto? I dla kogo? Dla sportu na pewno nie.

BOGDA MADEJ

KUPON

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w kopertach z dopiskiem „Łodzianie 1977".

Tadeusz Chróścielewski . . . . . .

Kazimierz Dębski . . . . . .

Wojciech Drygas . . . . . .

Teresa May—Czyżowska . . . . . .

Waldemar Podgórski . . . . . .

Włodzimierz Saar . . . . . .

Jerzy Samujiło . . . . . .

Lech Sosnowski . . . . . .

Paweł Udorowiecki . . . . . .

Barbara Wójcik: . . . . . .

Imię i nazwisko . . . . . .

Adres . . . . . .

Zawód . . . . . .

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redakto techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

ALEKSANDER CZCHAIDZE

PRZYJAŹŃ — DZIŚ I ZAWSZE

Trzy lata temu przebywali w Gruzji polscy literaci — Grażyna i Andrzej Miłoszowie, wielcy przyjaciele radzieckich, a tym samym gruzińskich pisarzy, tłumacze i propagatorzy naszej literatury. Byli także w moim rodzinnym Batumi i wśród wielu książek zabrali ze sobą do Polski jedną z moich sztuk — „Most".

I oto siedzę w przytulnym pokoju hotelu „Światowit" i piszę te zdania tuż po premierze „Mostu" w Teatrze Ziemi Łódzkiej. Miałem możność oglądać tę sztukę na różnych scenach i słuchać jej w różnych językach, tak u nas, w Związku Radzieckim, jak i poza granicami mojej ojczyzny: w Bułgarii i Czechosłowacji. Ale dziś denerwuję się nie mniej, niż dziesięć lat temu, kiedy „Most" przeszedł swój pierwszy chrzest sceniczny w młodym mieście gruzińskich metalurgów — Rustawii. Prawdopodobnie tym różni się dramaturgia od innych gatunków literackich, że poprzez każdorazowe spotkanie z kolektywem teatru, z nowym widzem, sztuka nabiera nowego życia. To odczuwa się dosadniej w momencie, gdy bohaterowie twojej sztuki zaczynają mówić innymi, częstokroć niezrozumiałymi dla ciebie językami i stają się bojownikami ogólnej sprawy, bojownikami o wysokie ludzkie ideały, o sprawiedliwość, odpowiedzialność każdego z nas przed przyszłymi pokoleniami.

Jesteśmy także odpowiedzialni i przed naszymi przodkami, którzy położyli fundament przyjaźni pomiędzy polskim i gruzińskim narodem. Kiedy dowiedziałem się, że w Polsce zainteresowano się moją sztuką, wówczas ten kraj stał mi się jeszcze bliższy i w myślach na nowo przekartkowałem stronice jej sławnej i skomplikowanej historii. Spotkałem się z moimi ziomkami, dla których Polska, jej przeszłość i dzień dzisiejszy stały się przedmiotem ich życia i działania. Zaznajomili mnie z takimi faktami i dokumentami polsko-gruzińskich kontaktów, które nie były mi dotychczas znane i myślę, że stanowią, także novum dla polskiego czytelnika.

Według istniejących dokumentów gruzińsko-polskie historyczno-polityczne wzajemne kontakty biorą swój początek przy końcu XV wieku, gdy oba te narody usiłowały połączyć się przeciwko wspólnemu wrogowi — Turcji. Ale są twierdzenia, że te kontakty są dużo starsze. Sprzyjała temu także i ta okoliczność, że szlak posłów polskich, jadących na Wschód, wiódł przez Gruzję. Wiele wiadomości o związkach polsko-gruzińskich znajdujemy w zapiskach podróżnych. Mikołaj Radziwiłł (1541 — 1610) był pierwszym obcym pisarzem i podróżnikiem, który w swojej książce „Peregrynacja do Ziemi Świętej" dał opis Gruzji. A w XVII wieku Tejmuraz Bagrationi, po zakończeniu swojej podróży po Europie, wspaniale opisał ówczesną Polskę.

Szczególnie intensywne kontakty narodu polskiego i gruzińskiego przypadają na pierwszą połowę XIX wieku, co wynika ze zbliżonych socjalno-ekonomicznych i narodowych warunków Gruzji i Polski, w równym stopniu ciemiężonych przez carską Rosję. Powstanie Listopadowe w Polsce i spisek w 1832 roku w Gruzji, w którym uczestniczyli czołowi działacze społeczni i kulturalni Gruzji, były wynikiem ucisku, jaki przeżywały nasze narody. Los powstańców był także podobny: Polaków zesłano do Gruzji, nazywanej „ciepłym Sybirem", a Gruzinów do Polski. Odegrało to niemałą rolę w zbliżeniu dwu narodów, dwóch kultur. Tadeusz Zabłocki, który był zesłany do Gruzji w 1837 roku, gorąco ukochał Gruzinów. Dużo pisał o historii i kulturze Gruzji, zapoznał Europę z twórczością Szoty Rustawelego, z jego nieśmiertelnym poematem „Witeź w tygrysiej skórze". Pierwszym utworem Adama Mickiewicza, z którym zapoznał się gruziński czytelnik, był wiersz „Farys". Wiersz został przetłumaczony na gruziński wcześniej niż ukazał się drukiem po polsku. Później pojawiły się „Sonety" Mickiewicza w tłumaczeniu dramaturga i założyciela zawodowego gruzińskiego teatru Georgi Eristawi, zesłanego do Polski po upadku spisku z roku 1832. Nauczył się on języka polskiego i wspólnie z Kazimierzem Łapczyńskim przetłumaczył „Witezia w tygrysiej skórze". Gruzińskie gazety i czasopisma szeroko pisały o polskiej historii, kulturze, literaturze. Szczególne zainteresowanie okazywało społeczeństwo Gruzji Powstaniu Styczniowemu. W gazecie „Iweria", którą redagował klasyk literatury gruzińskiej, Ilia Czawczawadze, systematycznie drukowano artykuły o życiu politycznym i kulturalnym Polski, szeroko omawiano życie i twórczość Ignacego Kraszewskiego, Elizy Orzeszkowej oraz Henryka Sienkiewicza, którego utwory cieszyły się ogromną popularnością w Gruzji .Nie jest przypadkiem, że wieść o jego śmierci okryła czytelników żałobą. Gruzińskie gazety i czasopisma były pełne nekrologów i fotografii Sienkiewicza, organizowano nabożeństwa żałobne...

Myśląc o tym oraz o wielu innych sprawach (wszystkiego nie da się zmieścić w krótkiej wypowiedzi) dziś możemy z dumą powiedzieć, że tysiącem kwiatów zakwitła praca naszych przodków. Szczególnie po naszym wspólnym zwycięstwie nad faszyzmem, kiedy Polska Rzeczpospolita Ludowa razem ze Związkiem Radzieckim i krajami wschodniej Europy połączyły się w jeden potężny obóz socjalistyczny.

Przed wyjazdem do Polski odwiedziłem Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej, gdzie zapoznałem się z niektórymi materiałami dotyczącymi stosunków polsko-gruzińskich za ostatnie lata. Co roku obchodzimy znaczące daty z waszej historii — dzień wyzwolenia Warszawy, Święto Odrodzenia Polski, dzień podpisania Porozumienia o Przyjaźni, Wzajemnej Pomocy i Współpracy między ZSRR a Polską. Uroczyście obchodzono u nas 500 rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, jubileusze: Adama Mickiewicza Henryka Sienkiewicza, Tadeusza Kościuszki...

Coraz liczniejsze są kontakty między naszymi uczonymi, pisarzami, działaczami kultury. W Muzeum Narodowym w Warszawie zorganizowano wystawę gruzińskiego malarza prymitywisty. Niko Pirosmaniszwilego. W Łodzi z wielkim powodzeniem występował Teatr Opery i Baletu z Tbilisi. W tym samym czasie w Tbilisi występował łódzki Teatr Wielki. Ponad dwa lata przebywał w Łodzi znany gruziński dyrygent, Dżansug Kachidze oraz reżyser Guram Meliwa, którzy na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi wystawili operę Zacharija Paliaszwili „Abssalom i Estera". Ta sama dwójka, wespół z Muratem Murwanidze, nie tak dawno wystawiła operę Prokofiewa na scenie tego samego teatru. Ku mojej wielkiej radości, moi rodacy byli także obecni na premierze „Mostu" w Teatrze Ziemi Łódzkiej. Nie tak dawno w Polsce występowały zespoły Pieśni i Tańca „Rustawi" i „Sałchino", a w Gruzji Śląski Zespół „Halka".

U nas wszyscy wiedzą, jaką sympatią cieszą się w Polsce żołnierze radzieccy, a wśród nich także i przedstawiciele narodu gruzińskiego, którzy wyzwalali Europę od faszyzmu. Mówi o tym film zrealizowany przez polską telewizję o żołnierzu gruzińskim, „Władimirze Dzneładze", który przysłano nam do Tbilisi.

Na półkach naszych księgarń coraz częściej pojawiają się najwybitniejsze polskie książki. Nie tak dawno ukazało się „Nad Niemnem" Elizy Orzeszkowej, zbiory wierszy Tadeusza Różewicza i Zbigniewa Herberta, wybór opowiadań Heleny Bechlerowej... Nasi polscy przyjaciele nie pozostają dłużni, wydając systematycznie najlepsze utwory znanych pisarzy gruzińskich. Z wielką radością i zadowoleniem została u nas przyjęta wiadomość, że wieloletni trud Jerzego Zagórskiego i jego konsultanta, gruzinologa, Jana Brauna nad przekładem „Witezia w tygrysiej skórze" został pomyślnie zakończony.

Nam, dramatopisarzom, jest trochę przykro, że pozstaliśmy w tyle, choć swego czasu w teatrach Gruzji wystawiano sztuki polskich dramaturgów. Jednakże nie mogę ukryć satysfakcji z powodu mego „Mostu", który jest pierwszą sztuką gruzińską wystawioną na polskiej scenie, a Teatr Ziemi Łódzkiej był tym teatrem, w którym odbyła się właśnie prapremiera.

Ten artykuł dla łódzkiego tygodnika „Odgłosy" zacząłem pisać zaraz po premierze „Mostu", lecz kończę go w swoim rodzinnym mieście Batumi, po powrocie z Polski, gdzie spędziłem niezapomniane chwile.

Po Łodzi był Kraków, miasto — zabytek. Strach pomyśleć, że tu przed zakończeniem wojny faszyści zamierzali zrównać go z ziemią. Ale dzięki Armii Radzieckiej i bohaterstwu mieszkańców miasta, Kraków został ocalony. Spotkałem się tam z teatrem „Bagatela", który zamierza wystawić mój „Most"... Na koniec — Warszawa, gdzie przebywałem daleko od teatru, ale zawsze wśród przyjaciół: pracowników instancji partyjnych, inżynierów, pedagogów, lekarzy.

Jednakże Łódź była tym miastem, gdzie po raz pierwszy spotkałem się z Polską, z osławioną już polską gościnnością i gdzie ze sceny teatru, po raz pierwszy po polsku, przemówili bohaterowie mojej sztuki. Dlatego też spotkania nigdy nie zapomnę.

Mówiąc szczerze wzruszyła mnie i trochę zdziwiła dokładność i subtelność, z jaką polski zespół teatralny zrozumiał sztukę, jak mocno i silnie wziął do serca historię z rozwalonym mostem, która wydarzyła się daleko od Polski, w maleńkim gruzińskim miasteczku. Było to tym bardziej dziwne, że jako autor nie miałem okazji brać udziału w procesie przygotowania sztuki. Przyjechałem, gdy wszystko już było gotowe. Przede wszystkim ogromna to zasługa dyrektora Teatru Ziemi Łódzkiej, Jana Perza, który okazał się niezwykle ciekawym reżyserem, a także Iwony Zaborowskiej, której scenografia nie tylko oddaje ducha spektaklu, lecz w warunkach teatru objazdowego jest wprost nieoceniona. Los sztuki jednak zależy od aktorów. Wszyscy oni dowiedli, że są aktorami dużego formatu i poradzili sobie z dość skomplikowanym zadaniem, jakie nastręczała sztuka. Jednakże chciałbym wyrazić uznanie wykonawczyni głównej roli. Barbarze Szymanowskiej, studentce szkoły teatralnej, dla której ta rola była pracą dyplomową, debiutem na prawdziwej scenie. Jeżeli moja ocena miałaby jakiekolwiek znaczenie dla pedagogów ze szkoły teatralnej, to ja stawiam jej piątkę.

Osobne słowa należą się publiczności. W Łodzi, w górniczym Koninie, widzowie są różni, lecz wszyscy oni z jednakowym zainteresowaniem przyjęli przedstawienie. Po przedstawieniu w Koninie odbyła się nawet, zorganizowana ad hoc, dyskusja, gdzie usłyszałem ciekawe, pożyteczne uwagi i życzenia.

Lecz oprócz teatru były przecież ciekawe i pamiętne spotkania — w Komitecie Łódzkim Partii, w miejscowym oddziale Związku Literatów Polskich i redakcji „Odgłosów", w fabryce „Vera", z radiowcami, w Muzeum Ruchu Robotniczego, spotkania w domach prywatnych, na ulicy, w tramwaju, przy stole i na każdym kroku — wszędzie czuło się zaciekawienie naszą ojczyzną, republiką, którą miałem honor reprezentować.

Kiedy dyrekcji „Vera" powiedzieliśmy, że w małym gruzińskim miasteczku Cchakaja jest podobny kombinat, natychmiast wyrazili chęć nawiązania przyjacielskich stosunków z gruzińskimi kolegami po fachu.

Było nam przyjemnie, kiedy usłyszeliśmy o gościnności Gruzinów, lecz jeszcze więcej cenimy tę zaletę u innych. Dlatego nie mogę powstrzymać się, by nie wyrazić swojej gorącej wdzięczności za przyjęcie i gościnność, jakich doznałem ze strony Teatru Ziemi Łódzkiej w osobach: dyrektora Jana Perza i kierownika literackiego, Władysława Orłowskiego, a także wszystkim innym rodzinom, w których miałem przyjemność przebywać. Wśród wielu innych wrażeń wspominam to, co ujrzałem w byłym obozie zagłady w Radogoszczu: dwaj 10—11-letni chłopcy palili świece na wspólnym grobie więźniów. Przyszli tu, na uświęcone krwią poległych miejsce, bez rodziców, bez pedagogów, z własnej inicjatywy, z potrzeby serca. To bardzo dobrze, że chronią i czczą pamięć Polaków, którzy padli po to, aby oni byli szczęśliwi, zginęli za wolność i niepodległość swojej ojczyzny. Dobrze, że ich szkoła nosi imię nauczycielki, aktywnej bojowniczki o ideały — Stefanii Sempołowskiej.

Gdy za swoim towarzyszem dziennikarzem, Lewanem Kawdżaradze, wyjeżdżałem z Polski, a potem w drodze, a także w kraju wspominałem te 15 dni spędzonych w waszej ojczyźnie, obaj z niepokojem pytaliśmy się nawzajem, w jaki sposób możemy się zrewanżować, kiedy polscy przyjaciele zawitają do nas. Odpowiedź zjawiła się sama: czyż mogą być wśród przyjaciół długi i rozliczenia? Najważniejsze, byśmy nie pozostali dłużnikami wobec przyszłych pokoleń, które — jestem pewny — jeszcze bardziej rozszerzą i umocnią odwieczną przyjaźń między naszymi narodami.

(Tłum.: E.I.)

Foto: Archiwum

Foto: Archiwum

EUGENIUSZ IWANICKI

MŁODZI Z DĄBRÓWKI

Wieś Dąbrówka ociera się o Zgierz: jadąc należy uważać, by nie minąć niskiego drogowskazu. Oblodzona droga prowadzi w dół, gwałtownie skręca w lewo, potem w prawo i od razu, prawie na wprost, jest Rolnicza Spółdzielnia Wytwórcza „Srebrna — Dąbrówka" w Dąbrówce Wielkiej, a tuż obok w jakimś chyba dworku mieści się młodzieżowy klub, któremu patronuje koło ZSMP.

Celem mojej wizyty w tej wsi jest właśnie wspomniany klub i młodzież, która tu przychodzi. Trafiłem niezbyt szczęśliwie: na piętrze pękła rura i woda zalała cały budynek. Sucho jest w pierwszej, niewielkiej salce gdzie zebrała się młodzież.

— Ala, przynieś kronikę, w niej jest wszystko.

— Coś ty, tam jest potop.

— Kronika pod wodą?

— Wszystko zalane, lepiej nie ruszać. Niech trochę podeschnie.

— Moglibyśmy zaprosić do naszej sali z estradą, tylko że i tam woda... Na podłodze, na scenie, wszędzie woda.

— Do Sylwestra wyschnie, jeszcze się zabawimy!

Są hałaśliwi, weseli, rozpiera ich energia. Śmieją się, żartują. Przyszli, bo z Zarządu Gminnego ZSMP był telefon od przewodniczącego, zapowiadający przyjazd dziennikarza. Niektórzy są wprost z pracy, inni ze szkoły. Większość związana jest ze spółdzielnią poprzez swoich rodziców, będących członkami RSW „Srebrna-Dąbrówka", część pozostaje na gospodarstwach indywidualnych, niektórzy są już pełnoprawnymi spółdzielcami. Jednakże fakt istnienia tego ogromnego kombinatu rolno-wytwórczego wyraźnie zaciążył nad nimi. Czuje się to w rozmowie, szczególnie kiedy sprawa dotyczy ich przyszłości. Prawie dziewięćdziesiąt procent członków ZSMP widzi siebie właśnie tu, wśród swoich rodziców, braci i sióstr. Jako ciekawostkę przytaczają dane, mówiące, że przeszło połowa zatrudnionych w czterech filiach spółdzielni — to młodzież, która dostrzega tu swoją życiową szansę. Kombinat to gospodarstwa w Dąbrówce, Srebrnej i Besiekierzu oraz Przetwórnia Owocowo-Warzywna. Młodzież przyciągają tu jednak nie tylko więzy rodzinne, przywiązanie do ziemi, ale przede wszystkim zarobki, świadczenia socjalne, wiele ułatwień, jakich nie posiada rolnik indywidualny. „Spółdzielnia to potentat, gdzie tam chłopom do niej". Dlatego ludzie się garną, oddają ziemię.

Mówi Marek Karolak, żywa encyklopedia spraw związanych z Dąbrówką, że zdarzały się przypadki, kiedy ludzie odchodzili ze spółdzielni. Kierowani ambicją, wierzący we własne siły, próbowali czegoś tam dojść w pojedynkę. Nie wyszło. Dziś chcą wrócić, mówią, że przeliczyli się, zbłądzili. A spółdzielnia to nie bagatelka, nie jakieś tam parę hektarów ziemi. Już w tej chwili areał gruntów wynosi 800 ha, bydła jest 260 sztuk, 250 buhajów eksportowych, 1.300 świń (w tym 115 macior). Dodajmy do tego maszyny rolnicze, sprzęt, linie produkcyjne w przetwórni — a okaże się, że pracy jest dużo, w sezonie trwa ona od świtu do późnej nocy, nie można powoływać się na Konstytucję i dochodzić swoich ustawowych 8 godzin. Ziemia nie może czekać, nie chce czekać. Prawda, do pomocy przyszła mechanizacja, ale... Tu, w Dąbrówce, zrozumiano, że maszyna jest nieodłącznym atrybutem nowoczesnego rolnictwa. Nauczono się dbać o te wszystkie kosiarki, kultywatory, siewniki, roztrząsacze, glebogryzaki i ciągniki. Te ostatnie pracują tu po 12 lat i nie prędko zostaną przekazane na złom.

Spółdzielnia powstała w 1958 roku. Pierwszymi założycielami-udziałowcami byli: Jakub Baran, Roman Karolak, Jan Kupis, Ignacy Karolak, Bogumił Gąsiorkiewicz, Klemens Kupis i Jan Binczycki. Dziś w założonej przez nich dwadzieścia lat temu spółdzielni, pracują ich dzieci. Oto Marek Karolak, którego ojciec oddał na potrzeby spółdzielni swoje 9,4 ha ziemi. Parę lat temu, po ukończeniu liceum ogólnokształcącego pracował tu jako tzw. „fizyczny". Ale ciągnęło go do nauki, nie mógł się pogodzić ze statusem „człowieka bez zawodu". Zdał do SGGW w Warszawie. Dzięki zdolnościom, wiedzy, umiejętnościom organizatorskim wkrótce awansował na zastępcę kierownika d/s produkcji roślinnej i zwierzęcej w ogspodarstwie Biesiekierz. Zapytany, co uczyni po uzyskaniu magisterium, powiedział, że pozostanie w Dąbrówce. — Nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. Wieś potrzebuje ludzi, to prawda, ale najbardziej brakuje tu ludzi z fachowym przygotowaniem.

Wieś Dąbrówka jest duża, ponad 200 domów, lecz gospodarzy indywidualnych można policzyć na palcach. Ubiegłoroczne lato nie sprzyjało rolnictwu. chłody, deszcze. Plony okazały się niewielkie. Drobne, indywidualne gospodarstwa ucierpiały najwięcej. Nie najlepiej wypadła spółdzielnia, która z czterech zbóż zebrała zaledwie 28,5 q z ha, ziemniaków 170 q z ha, siana 90 q z ha. Ale spółdzielnia posiada własną hodowlę. W roku ub. odstawiono na punkt skupu ponad 500 ton żywca, a w planach mają zobowiązanie opiewające na dostarczenie dla państwa 1 tony żywca z każdego hektara ziemi!

Pytałem dziewczęta i chłopców dlaczego pozostają na wsi, skoro tyle pracy czeka na nich w przemyśle. Miasto kusi, przyciąga, obiecuje to, czego nie znajdzie się w żadnej, nawet, najbardziej nowoczesnej wiosce.

— Jest nas w kole ZSMP — mówi Jerzy Michalski — 30 osób, w tym 12 dziewcząt. Wszyscy jesteśmy z jednej wsi, tu wychowaliśmy się, tu żyjemy. Do szkół, owszem, chodzimy do Zgierza albo do Łodzi. Jednak zawsze wracamy. Ja sam ukończyłem Zasadniczą Szkołę Chemiczną, która z rolnictwem niewiele miała wspólnego. No i nagle rodzice zapisali mi 5 ha ziemi! Co było robić? Nie umiałem chodzić koło niej, zmarnowałaby się. Widzę, że spółdzielnia, to kolektyw, masa ludzi, pracy ile się chce. No więc oddałem swoją ziemię, ukończyłem kurs traktorzystów i jestem, jak to się mówi, panem kierowcą. Zarabiam niezgorzej, bo oprócz pensji otrzymuję od spółdzielni roczną dzierżawę po 1500 zł za każdy wniesiony hektar. Można wytrzymać, oby tak dalej.

Po pracy zbierają się w swoim klubie. Wszystko, co tu jest zostało przez nich urządzone. Ale potrzeby są nadal duże. Mogą pomalować ściany, zawiesić dekoracje, wyczyścić podłogi. Mogą nawet odnowić stare meble, ale dla pełnej pracy klubu, dla przyszłych zespołów, dla istniejącego już teraz kabareciku i orkiestry — to nie wystarcza.

— Spółdzielnia obiecała kupić telewizor, ale jakoś się to przeciąga.

— Na pewno kupi.

— Kiedy? Na święty nigdy?

— Chcemy dobrze odpoczywać, bawić się po pracy. Gdzie indziej byle zespół korzysta z mikrofonu i wzmacniaczy. Nie jesteśmy gorsi. Nam tylko się obiecuje.

— Może kiedyś....

— Co, kiedyś? Jesteśmy członkami spółdzielni, a wszystko, co w klubie robimy, to także liczy się do jej działalności. Chłopcy grają na własnych instrumentach, a przecież powinny być klubowe.

— Nie zapominajcie, że to my jesteśmy organizatorami życia kulturalnego w Dąbrówce.

— Fakt. Wieś nas zaakceptowała.

— Wszystko, co tu robimy, to dla siebie, dla swoich. Jak jest jakaś impreza, to przychodzą nasze mamy, ojcowie, sąsiedzi.

— No, no, z tym bywa różnie.

— Raz wiatr skrzywił maszt przed klubem, to zaraz powiedziano, że to my po pijanemu.

— Nie przejmuj się. Pewnie jakiś pijaczyna, który tu nigdy nie zagląda.

— Zauważcie, w innych wioskach młodzież drze koty z Kołem Gospodyń Wiejskich i strażą pożarną. A u nas tych problemów nie ma: chcemy urządzić zabawę — dostajemy remizę.

— To dlatego, że nie zamykamy przed nikim drzwi.

Młodzież dojeżdża do szkół w Zgierzu. Na trasie Piątek — Zgierz autobusy zatrzymują się niechętnie. Można szyję skręcić stojąc na przystanku. Jest rozkład jazdy, ale kierowcy PKS nie respektują go: Zgierz tuż tuż, cztery kilometry, nie warto naciskać na hamulce. Mimo to wszyscy, po skończeniu podstawówki, ciągną do miasta. Uczą się, kończą szkoły, wracają. Nie zawsze są to szkoły uczące zawodu przydatnego na wsi. Często później trzeba zmieniać kwalifikacje. Do niedawna po ukończeniu Technikum Chemicznego można było w spółdzielni pracować w polu albo myć słoiki w przetwórni. Dwie córki Bogumiła Gąsiorkiewicza członka-założyciela spółdzielni związały się z chemią. Alicja po ukończeniu technikum pracuje w powstałym niedawno laboratorium, jej siostra Maria otrzyma wkrótce dyplom. Chce także tu powrócić, choć jeszcze nie wie co będzie robić. Może także pójdzie do laboratorium? Spółdzielnia przyjmie każdego, praca czeka.

W planach rozbudowy tego kombinatu znajduje się budowa 28 brojlerni mieszczących po 15 tys. sztuk kurcząt każda. Budowa ta będzie wymagała sporej ilości fachowców. Chłopcy z koła ZSMP postanowili zorganizować własną młodzieżową brygadę budowlaną.

— Co zrobimy, tego nam nikt nie odbierze, wszystko będzie zapisane na nasze konto.

— Właśnie, a kto remontował drogę?

— My. W zeszłym roku solidnie popracowaliśmy, by można było z Dąbrówki do Smardzewa jechać nie łamiąc osi.

— Zrobiliśmy boisko do siatkówki.

— Nie zapominajcie o boisku do piłki nożnej, gdzie trenuje nasza drużyna LZS.

— Wszystko to jest zapisane. Jak trzeba było postawić na przystanku PKS wiatę — to także zwrócono się do nas.

— Bo robimy rzeczy użyteczne...

— Latem prowadziliśmy akcję „Każdy kłos na wagę złota". Nasi chłopcy i dziewczęta z ZSMP cały czas pracowali na polach pięciu gospodarzy, którzy ze względu na wiek nie potrafiliby już sprzątnąć tego, co zostało zasiane.

— Prawda jest taka, że wszelkie akcje na rzecz środowiska podejmujemy my. Może właśnie za to nas tu zaakceptowano?

Często o wyborze zawodu decyduje przypadek. Wiejskie dziecko udające się do pobliskiego Zgierza trafia do szkoły nie mając pojęcia, co będzie robić po jej ukończeniu. Stąd wśród młodzieży RSW „Srebrna-Dąbrówka" tyle różnorodnych zawodów nie przydatnych, nie mających zastosowania. Nasuwa się określenie o zmarnowanych latach edukacji, o straconych bezcelowo pieniądzach. Ot, choćby Andrzej Luźniakowski pracujący jako cieśla w Przedsiębiorstwie Przemysłu Budowlanego „Chemobudowa". Od stycznia wraca do Dąbrówki, bowiem ojciec nie może już pracować, przekazuje mu ziemię, a on, który od dawna stracił z nią kontakt (wyuczył się czegoś innego) niewiele teraz potrafi. Jedyne wyjście — spółdzielnia. Przynajmniej ziemia się nie zmarnuje. Sam Andrzej będzie musiał zmienić zawód. Tu, w spółdzielni, w czasie siewów, żniw, wykopek — prawie wszyscy wychodzą w pole. Nie ma wówczas ani traktorzysty, ani cieśli czy urzędnika. Jest batalia o plony. To ludzi zbliża, integruje.

Lucyna Palmowska po ukończeniu Technikum Gospodarki Wodnej w Zgierzu z braku lepszych możliwości zaczepiła się w Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej jako referent d/s rozliczeń. Traktuje tę pracę jako etap przejściowy. W Dąbrówce dobiegają bowiem końca prace przy nowej pieczarkarni, co stworzy szansę bardziej ciekawej, wysoko płatnej pracy. Lucyna już „zaklepała" sobie tu miejsce. Owszem, miasto jest ciekawe, ale z Dąbrówki wszędzie jest blisko.

Te powroty na wieś są tu charakterystyczne. Ich źródło jest w pracy, która oznacza dla wielu stabilizację życiową. Przypomina mi się wystąpienie przewodniczącego tutejszego koła ZSMP Wiesława Luźniakowskiego na II Gminnej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Zgierzu: „Zorganizowaną pracą pragniemy doprowadzić do tego, aby życie nasze na wsi odpowiadało warunkom kolegów z miasta. Młodzież od nas nie ucieka, a przeciwnie, co roku gromada młodych w spółdzielni powiększa się".

W pomieszczeniu, które jako jedyne nie zostało zalane, zebrało się sporo młodzieży. O niektórych już wspomniałem, inni jeszcze się uczą, jak na przykład Sabina Tworska z V kl. Technikum Budowlanego, Jakub Rajski z II kl. tegoż technikum, które kończy zaocznie pracując jako murarz w spółdzielni, Henryk Asmolik z IV kl. Technikum Włókienniczego, Małgorzata Kupis — kończy policealne studium gastronomiczne, Piotr Kaczmarek — maturzysta z LO w Zgierzu. Uczyć się chce także Andrzej Trybuła, obecnie pracownik fizyczny transportu spółdzielczego. Pragnie ukończyć technikum samochodowe, bowiem tu, na miejscu są potrzebni wysokowykwalifikowani fachowcy do obsługi sprzętu.

Kiedyś w tym budynku mieścił się „Klub Rolnika" oraz kawiarnia GS. Od momentu powstania koła ZSMP — pomieszczenia przekazano młodym. Oczywiście, nie przyszło to łatwo.

— Chcieliśmy nawet zwrócić się o pomoc do prasy.

— Najgorzej było z decyzją: ktoś się uparł, że będzie tu stołówka.

— Skądże, miał być sklep.

— Sklep potem, ale wpierw stołówka.

— Klucze dano nam dopiero w maju ubiegłego roku, więc nie było możliwości na rozwinięcie pracy w takim stopniu, w jakim byśmy chcieli.

— Zdążyliśmy co prawda przygotować montaż rozrywkowy „Dobrze jest", ale było to robione w iście pionierskich warunkach. Czeka nas teraz jubileusz XX-lecia naszej spółdzielni. Chcemy aby nasz zespół kabaretowy, do którego należy 12 osób, wypadł jak najlepiej. A potem zaraz jest Dzień Kobiet, wymagający opracowania odrębnego programu.

W drodze powrotnej, już w samochodzie, rozmawiałem z przewodniczącym Zarządu Gminnego ZSMP Włodzimierzem Sieczkowskim na temat statusu młodzieży zorganizowanej w społeczności wiejskiej. Jego wypowiedź sprowadzała by się do następującego stwierdzenia: „Młodzież nie jest dynamitem rozsadzającym zastałe zwyczaje czy usnakcjonowane przez tradycję normy moralno-obyczajowe. To fakt. Ale na pewno jest ona drożdżami swojego środowiska. Szczególnie ci z Dąbrówki. To najlepsze koło ZSMP. Noszą w sobie niepokój, objawiający się tworzeniem czegoś, czego dotąd tam nie było. A przy tym, proszę zauważyć, ciągle mówią „my", „nasza spółdzielnia". To także o czymś świadczy".

Mają rację ci, którzy mówią, że Dąbrówka ociera się o Zgierz: dzieli te miejscowości las, który od dawna przestał być granicą. Drogą, która tędy przebiega, młodzież z Dąbrówki podąża do miasta, by zdobywszy bagaż wiedzy, powrócić nią z powrotem.

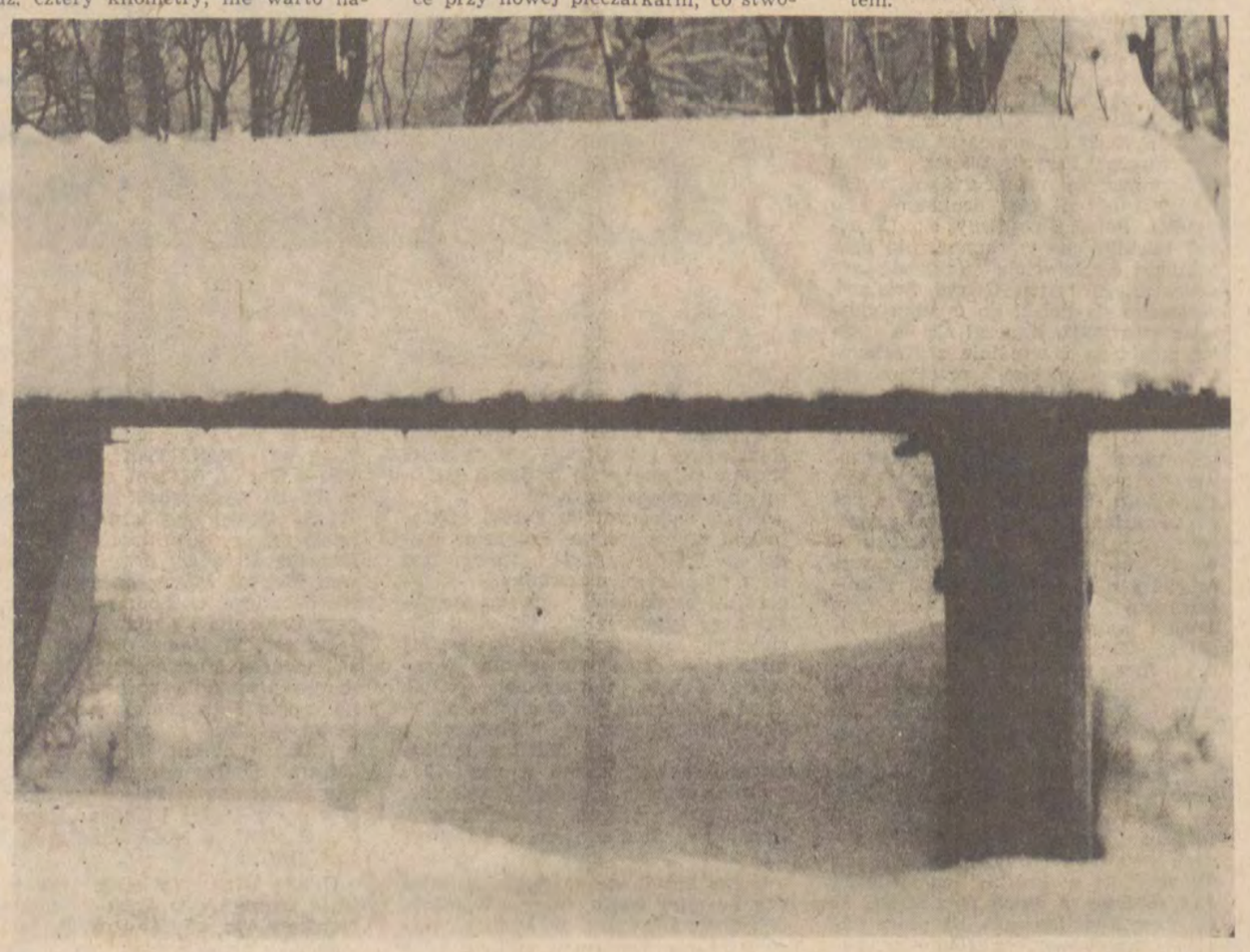

Foto: W. Parys

JAN BĄBIŃSKI

POKOLENIA

— Niech mi pan powie dlaczego tak bardzo żałuję tych, co odchodzą na emeryturę?

Bolesław Górniak nie odpowiadał.

— Był u mnie Berut, Morawski, był Stępień i Kabza, ale gdzie im wszystkim do pana. To pan był najlepszym kierownikiem tkalni. Tak właśnie a nie inaczej. Mogłem spać spokojnie. Na tkalni widział pan wszystko jakby na wskroś i brał cały ciężar na siebie. Teraz zarabia się na tym stanowisku dziesięć tysięcy.

— Ile? — zdumiał się Górniak, który dotychczas milczał z zamyśloną miną.

— Dziesięć tysięcy — powtórzył Goldman.

— Coś podobnego — Górniak na moment zwiesił głowę. — To tyle teraz zarabiają?

Spojrzałem na Goldmana.

— To tak kiepsko u was z dobrymi pracownikami?

— Nic podobnego — roześmiał się szef „Zwoltexu". — Im dalej od Łodzi tym pracownicy lepsi. W takiej mieścinie jak Zduńska Wola nic się nie ukryje, wszyscy znają tu wszystkich. Trzeba się więc pilnować, żeby nie podpaść. Gdy się kto rozwalkoni i rozpijaczy to ludzie wezmą na języki i suchej nitki nie zostawią. Społeczna presja robi swoje. Jak kto zaszarga sobie tutaj opinię, to już lepiej, żeby się schował pod ziemię.

— Wspomniał pan o kierownikach tkalni. Co z nimi? Pozwalniani?

— Oni? — Goldman, który miał cały czas uśmiech na twarzy, nagle spoważniał. — Oni? Co pan, to dziś dyrektorzy.

Rozmowę przerwał ostry dzwonek telefonu. Goldman poderwał słuchawkę i od razu wszedł komuś w pół słowa.

— Skończmy już z tym, dobrze? Ja panu dałem komputerek do liczenia a pan da mi metry. Jasne? Inaczej zabiorę maszynkę i stanie na tym, że premia też poleci.

Obszedłem fabrykę ze wszystkich stron. Cóż to za dziwoląg. Fabryka? Raczej kilkanaście drobnych ongiś przedsiębiorstw. Jedna z tkalni zabłądziła do Okupa Wielkiego. Jedna z przędzalni utknęła aż w Grzeszynie oddalonym od Zduńskiej Woli o wiele kilometrów. Te niewielkie wytwórnie zlały się i scaliły w jeden dynamiczny dziś „Zwoltex". Na rozbudowę i unowocześnienie firmy poszło już półtora miliarda złotych. Sumka okrągła. Budzi szacunek. Czy ta skórka była jednak warta wyprawki?

Była, jeszcza jak była.

Czego się w tych starych murach nie fabrykuje. Gdyby wszystkie te tkaniny ułożyć, zważyć i wycenić, to wyjdzie, że rynkowa wartość tegorocznej produkcji „Zwoltexu" przekroczy miliard trzysta milionów złotych. Na dobrą renomę zakładów złożyła się i ta okoliczność, że jej wyroby płyną pod polską flagą po wielu morzach i oceanach. Znawcom przedmiotu nie umknęło uwagi, że wartość samego tylko eksportu na Zachód równa się z grubsza rzecz biorąc wartości tysiąca dużych fiatów sprzedanych za granicą.

Kręcę się teraz z Górniakiem po tej największej z hal i wsłuchuję w jego słowa.

— Proszę spojrzeć na te szerokie krosna — Górniak wskazuje ręką na rząd warsztatów połyskujących świeżą jeszcze farbą. — To najnowsze bezczółenkowe automaty, sprowadzone z Włoch. Tka się na nich te kolorowe pledy z anilany.

Górniak poprowadził mnie zamaszystym krokiem na drugi kraniec hali. Patrzę i oczom nie wierzę. To inna jakby epoka, inny wiek. Maleńkie śmieszne krosna jazgoczą, że tylko uszy zatykać. Do licha, to przecież krosna mechaniczne, zabytkowe, powiedziałbym muzealne. Coś takiego. Jednak tu się uchowały. Świdrujący huk wdziera się w uszy z taką siłą, że puchną bębenki. Co za historia. Jednak te pradawne poniekąd warsztaty pracowały. Dudniły nieprzerwanym monotonnym rytmem.

Górniak przystanął.

— Przy takich to krosnach przepracowałem czterdzieści lat. Te same. Wyszły z fabryki „Langego" i „Millera".

— Wyobrażam sobie jaka to musiała być mordęga.

— Tego bym nie powiedział. Nikt z nas starych tkaczy nie narzekał. Uważaliśmy, że nam w życiu się powiodło. Zarabiało się, a to było kiedyś najważniejsze.

— Mówi się, że lepsze zrobi płótno dobry tkacz na złym warsztacie niżeli zły na dobrym.

Górniak wejrzał na mnie z uwagą.

— Żeby pan wiedział. Robota przy krosnach nigdy mi nie zbrzydła. Wszystkie sploty miałem z czasem w małym palcu. Najlepsze były te płócienne, jeden na jeden, dawały tkaninę nie do zdarcia. Sama świadomość, że w tkactwie mało kto mi dorównywał, sprawiała mi zawsze wiele zadowolenia.

Górniak urwał i z chyżością o jaką nigdy bym go nie posądził dopadł warsztatu, który nagle znieruchomiał. Jednym błyskawicznym ruchem krosno cofnął, nastawił, puścił ponownie do biegu. Było widać, że obracał się wśród tych warsztatów ze swobodą i łatwością wielkiej klasy fachowca. Górniak znów pochylił się nad krosnem i wymienił w okamgnieniu czółenko. Patrzyłem na niego z natężeniem. Dźwignął kunszt tkactwa na szczyty. To pewne. To się wyczuwało. Siwy już człowiek o pociągłej wyrazistej twarzy. Miał już ten siódmy krzyżyk na grzbiecie, lecz wcale się tego po nim nie widziało. Plecy trzymał prosto. Nogi chodziły mu sprężyście. Był gibki, ruchliwy i czujny. Coś było prócz tego w jego postaci co budziło respekt i szacunek. I ten ujmujący sposób bycia, który jest cechą ludzi o dużej kulturze osobistej.

— Wiele z naszych tkaczek nie potrafi przewidywać — krzyknął mi na ucho Górniak. — Nie umieją sobie pracy organizować, dlatego te warsztaty tak często stoją bezczynnie.

— Harówką to jednak jest — odkrzyknąłem, przypominając sobie dawne powiedzenie, że kto ma krosienka, ten ma usenka.

— Robota to robota — stwierdził Górniak. — Samo się nie zrobi. Bywało, że stałem przy takich krosnach po szesnaście godzin na dobę. Musiałem. Rodzina duża, siedem osób do wyżywienia, a tylko ja jeden miałem zatrudnienie. Każdy się wtedy targał o byle jaki zarobek, ale nie wszystkim było to dostępne. Widzi pan ten kącik? Tu na boczku kładłem sobie książkę. Jak krosna szły równo, to zawsze złapałem tych parę minut na czytanie. Przenosiłem się wtedy myślami w inny świat i zapominałem o wszystkim. Powiem panu jedno, książki przepędzają smutek. Myśmy wtedy wszyscy cierpieli na wielki głód wiedzy. Kto tylko mógł, dokształcał się własnym staraniem. A wieczorami to już grywaliśmy sobie z Maksiem Jabłońskim na skrzypcach. Maksio był za snowacza. Jakoś szło. Robota człowieka nie niszczy, ja bym powiedział, że robota służy zdrowiu. Już gorsza jest gnuśność i rozleniwienie. Moja matka była przygwożdżona do roboty na amen. Harowała od dzieciństwa, a dożyła dziewięćdziesięciu czterech lat.

Znowu wpadam w zadumę.

Domy, domy piętrowe, parterowe, po trosze szlacheckie z gankiem od przodu, po trosze willowe z werandą dookoła. Biegną wzdłuż szosy od Łasku do Zduńskiej Woli i dalej do zabytkowego Sieradza. Domki małe ale własne. Błogo temu kto swój dom ma. Taki na podmurowaniu. Ceglany. Tu wszędzie wolą cegłę. Taką gładką dobrze wypaloną, że stuknąć to dźwięk oddaje jak dzwon. O cóż chodzi? Czy to aby nie cegła latem ziębi a zimą grzeje? Gdy nastaje polska jesień wszystkie te nowiutkie zagrody, tonące w listowiu przydomowych sadów, mienią się bajecznymi kolorami. Zduńska Wola ucieka na zachód w kierunku Warty. Nakreśla to ponętną perspektywę. Pewnego dnia ten przemysłowy gród przyłgnie do Sieradza i zleje się z ośrodkiem wojewódzkim w jeden organizm miejski.

Wieść atoli padła na Zduńską Wolę, że nowa dzielnica najrozleglejsza ze wszystkich poleci w stronę kolejarskich Karsznic. Co takiego? Karsznice? Przecież ta nazwa poznikała nawet z rozkładów jazdy. Na to przyszło. A jeszcze nie tak znów dawno mawiano — nie ma to jak kolejarzom, nic nie robią tylko łażą. Jakże nieludzko zaharowani chłopi zazdrościli ongiś kolejarskiej braci lekkiej roboty i wysokich zarobków. W niedalekiej przyszłości Zduńska Wola wchłonie nową zabudową cały karsznicki węzeł kolejowy. Jest to punkt szczególny. Ten węzeł tym jest dla gospodarki tego kraju czym jest puls krwi dla człowieka.

Budować? Ale z czego? Jakim systemem?

Benedykt Białecki przystanął na chwilę przed betonową estakadą.

— Fabryka domów jaką tu stawiamy jest polskim prototypem.

— Czy jest w czymś lepsza od dawnych, to jest cudziemskich?

— Jest lżejsza.

— Czy tańsza?

— Kosztuje czterysta milionów złotych, ale spłaci się w ciągu paru krótkich lat.

— Jaką ma być jej wydajność?

— Mniej więcej osiem tysięcy izb rocznie. Pierwszy blok z tej fabryki wznosimy w osiedlu „Dolnośląskim" dla górników w Bełchatowie. Następne budynki staną w Zduńskiej Woli i w Sieradzu.

Wspinam się na sam szczyt kasety. Tych kaset jest tu kilkadziesiąt. Niepotrzebne jest tłumaczyć, że tworzą zwarty cykl produkcyjny. Spod wielkiej prasy wydobywa się z sykiem gęsta para. Szynami przesuwa się z monotonnym burczeniem uformowana już płyta taka na całą ścianę. Idzie to jak po sznurku. Idzie jak na montażowej taśmie w fabryce samochodów. Pod dużym ciśnieniem odciska się tu z betonu jednolite w kształcie mieszkania.

— Przy prototypach dostaje się zwykle komuś po nosie.

Poważna twarz Białeckiego lekko drgnęła.

— Myśli pan o estakadach?

— Nie tylko.

— No tak, do zachwytu nam daleko. Estakady winny być raczej porobione ze stali a nie z betonu. W oszczędnościach chyba się zagalopowano, bo główna hala jest też za krótka. Ale mówi się trudno i ulepsza co się da już samemu i na miejscu. Wiele rzeczy sami poprzerabialiśmy.

— Jeszcze jedna wielka płyta, jeszcze jedna koszarówka.

Białecki uniósł brwi.

— Co proszę? Wszyscy krzyczą koszary, ale krzyczą ci, co już mieszkania mają. Zresztą nie pożałujemy trudu, aby udowodnić, że można też inaczej. Można nie tylko szybko, ale można też ładnie i estetycznie. Nasza płyta pozwala montować domy o zróżnicowanej elewacji. Wprowadzimy na fasadach uskoki, załamania, żeby uniknąć sztampy i sztrychulca. Najważniejsze, że ta fabryka jest nasza krajowa. Dostarczył ją ZREMB z Gorzowa. A pierwszy początek zawsze najtrudniejszy.

Przypomniał mi się Górniak. Gdy przemierzył fabryczny dziedziniec „Zwoltexu" opowiadał mi po drodze o swych pierwszych krokach w tkactwie.

— Akurat skończyłem czternaście lat, kiedy matka wzięła mnie do siebie, na tkalnię u Arleta. Tam się uczyłem zawodu pod okiem własnej mamy.

Jeszcze jedna hala niska, ciemnawa. Tłoczą się w niej niemożebnie poszpiskane dziwnie maleńkie krosna. Rękami by je objął. Na ich widok Górniak rozpogodził się.

— U Arleta stało sto pięćdziesiąt takich warsztatów. To był ktoś, ten Arlet, pionier, całe miasto przed nim tańczyło. Jednak ręczne ładowanie wątku człowieka przy tych maszynach powoli wykańczało. Ale jak to się mówi, ustawiczne ćwiczenie wszystkiego dokaże. Lubiłem swój zawód. Przy tych nowych krosnach jest lżej. Gdy nitka się zerwie, krosno zatrzymuje się samo. Jest automatyka. Kiedyś robota szła w ręce, teraz idzie w nogi. To już zaczyna się polka, gdy jeden tkacz obsługuje po kilkadziesiąt warsztatów. Czy ma pan pojęcie, jak musi się przy tym nalatać? Pod koniec zmiany to już ledwo włóczy nogi za sobą. Mamy teraz w tkalniach ogromne wydajności. Nie ma żadnego porównania z tym co było kiedyś. Jak utkałem w ciągu godziny na jednym tym wąskim warsztacie cztery metry tkaniny to już była góra. Natkałem się w życiu tych jedwabi, bo natkałem.

Zastanawiam się czy Zduńska Wola nadal tylko tkactwem stoi. Ależ nie. Ta baza jest już znacznie szersza.

Co za budowa. Prawdziwy gigant. I jaka dziwna nazwa. Kombinat Izolacji Wodoszczelnych. Błądzę po rozległym placu zawalonym cementem, gotowymi płytami, cegłą i stalowymi prętami. Rozpytuję o drogę. Wreszcie trafiam do gabinetu. Zaraz od progu wyczuwam, że w pokoju unosi się ów szczególny nastrój napięcia, który sprawny nos dziennikarski rejestruje bez trudu.

Przy biurku Jerzy Jagiełło, budowlany spec. Wpatruje się we mnie uważnie i z nie ukrywaną rezerwą. Być może stara się z mej twarzy wyczytać co już wiem, czego się domyślam. No tak, coś się skośławiło, coś idzie torem zygzakowatym. Ale nawet gdyby, to jakiż w tym sens przychodzić i zawracać ludziom głowę? Widzę, jak inżynier z wolna potrząsa ręką. Zda się, że się z sobą pasuje. Po co te dociekanie? Czy to komu w czymś pomoże?

Milczenie się przedłuża.

Potem w rozmowie, która biegła opornie i co rusz się rwała, dowiaduję się, że brak tego i tamtego, a najtrudniej o stal konstrukcyjną. Są natomiast niezliczone inne też kłopoty. Trzeba im stawić czoła. Terminy gonią. Padonu nikt nie daje. Jakże trudno przychodzi wybudowanie takiego giganta w określonym przez plan terminie. Słucham, medytuję, wreszcie zbieram się w sobie i wychodzę. Na schodach zawracam. Może warto jeszcze o coś zahaczyć? Bez uprzedzenia otwieram ponownie drzwi skromniutkiego gabinetu. Widzę teraz jak inżynier siedzi przy biurku bez ruchu i z zamkniętymi oczami. Głowę ma wspartą na rękach. Z jego twarzy wyziera udręka. W ułamku sekundy pojąłem. Zmęczenie inżyniera na wielkiej budowie.

Wychodzę bez słowa.

I znów uwiesiłem się Górniaka.

— Szef wspomniał, że bardzo żałuje tych, co odchodzą na emeryturę. Co pan o tym sądzi?

— Wolałem młodych — odpowiedział Górniak.

— Tak? A to dlaczego?

— Zawsze lgnąłem do młodych. Mają sokoli wzrok, a to liczy się w tkactwie najbardziej. Są oczytani, bystrzy, nie trzeba im wszystkiego wykładać ciągle na talerz. Co dużo mówić, według mnie mamy luksusową młodzież, światłą i wykształconą.

— Przecież tyle się narzeka na młodych.

Górniak skrzywił się.

— Zawsze się chwali przeszłe lata, bo wtedy było się młodym. Wiadomo, młodość za miliony starczy. Moja matka też chwaliła dawne czasy, choć tyrała przy krosnach po dwanaście godzin dziennie.

— A chuligaństwo?

— Drogi panie, dajmy temu lepiej spokój. Czy pan ma pojęcie co tu się działo w Zduńskiej Woli przed wojną? Bandytyzm i nożownictwo. Rany boskie, ilu się wszędzie pętało rzezimieszków i bandziorów. Jak kto odebrał pensję i szedł do domu, to przyczajali się po bramach, wyskakiwali z nożem w ręku, dawaj forsę bo pod żebro. Strasznie było. Faktów nie wolno przeinaczać. Takiego bandytyzmu już nie ma. To tylko, że zostało złodziejstwo, takie niby drobne, ale częste i dokuczliwe. Wnuczkowi ukradli co dopiero rowerek. Przepytywałem w sąsiedztwie, i co, nie ma rodziny, której by nie podkradziono roweru. Mało kto o tym melduje. Co tam, szkoda fatygi, kupi się nowy i po zmartwieniu. Za dużo jest dziś we wszystkim tolerancji, za dużo pobłażania i bezkarności. Stąd ten cały kram.

Już wiem.

Zduńska Wola zmienia skórę. Sięga po nowe techniki i nowe gałęzie gospodarki.

Szkieletem nowej dzielnicy przemysłowej staje się Fabryka Domów, Kombinat Izolacji Wodoszczelnych, a raczej najnowocześniejszych materiałów budowlanych, dalej Fabryka Mebli i nowa elektrociepłownia. To już wielka przemysłowa klamra, która pospina te nowe wytwórnie w liczący się ośrodek budownictwa. W sumie pójdzie na te wielkie inwestycyjne przedsięwzięcia kilka miliardów złotych.

Dobra to nowina. Na czasie.

W Zduńskiej Woli mieszka na kupie trzydzieści tysięcy ludzi. Miasto jest młode. Przeżywa wyż małżeński. Ściąga przecież do rozwijającego się przemysłu wielu młodych specjalistów. A tu mieszkań brak. A tu na urzędy spada lawina podań. Dajcie, dajcie, tylko skąd brać, jak nie ma. Co druga rodzina szuka własnego kąta. Kto tylko może kręci, koluje, stosuje chytre wybiegi, byle upragnione klucze do rodzinnego szczęścia zdobyć przed innymi. Problem mieszkaniowy jest wciąż otwarty.

Gdy wjeżdża się w progi miasta długą jak Piotrkowska w Łodzi ulicą Łaską, pełno widzi się par małżeńskich na chodnikach. On i ona, zapatrzeni w maleństwa rozpostarte w kolorowych wózkach. Młodziutkie mamusie pozapinane w obcisłe dżinsy. Patrzą na maleństwa z uwielbieniem w oczach. Nigdy jeszcze żadna generacja w tym kraju nie przejawiała tyle troski o niemowlęta. W ogóle o dzieci właśnie. Te maluchy leżące dziś w wózkach, te dzieciaczki, na które dmucha się i chucha, przemówią jutro wielkim głosem. Przypuszczalnie będzie to najbardziej udane pokolenie w historii narodu.

— To pan grywał też na skrzypcach?

Górniak skinął potwierdzająco głową.

— Tak, z Maksiem, który też był samoukiem. Wszystko go interesowało, miał oczy i uszy otwarte na każdą nowość. Jakżeśmy się nagrali do syta, to skrzypce do futerałów i dalej się spierać jakby urządzić ten świat, żeby wszystkim żyło się po ludzku. Gdzieś tam było powszechne dobro, do którego tęskniliśmy całą duszą.

Górniak zasępił się. Teraz dopiero zauważyłem, że jego czołem biegną gładkie zmarszczki, a w oczach przykucnęło zmęczenie. Teraz dopiero mnie doszło, że to przecież człowiek stary. Młodniał, gdy uciekał we wspomnienia. Kochał wszystko co przeżył. Lubił wspominać. Wtedy stawał się wesoły, naturalny i sympatyczny. Po prostu bardzo ludzki i swobodny.

— Maksio był pana przyjacielem?

— Najlepszym ze wszystkich. Nie mieliśmy przed sobą sekretów. A mądry był jak rabin. Maksia brano za Polaka, miał włosy blond, mnie brano za Żyda, bo miałem czarną czuprynę.

— Co się z Maksiem stało?

— Z Jabłońskim? Jego rodzinę zagazowano i spalono na popiół. Poszli wszyscy z dymem. Maksiowi udało się w ostatniej chwili przedrzeć do Związku Radzieckiego. Uratował się. Jeszcze po wojnie pisał do mnie z Nowosybirska. Potem się to urwało. Może umarł? Kiedyś żył w tym mieście Polak obok Niemca, Niemiec obok Czecha, a Czech obok Żyda. Panowała pełna tolerancja. Polska przygarniała przecież wszystkich, czym chata bogata, nikogo nie odtrącała. Religii ile było. Ile różnych kościołów. Jeszcze stoją. Maksymilian Kolbe też tu mieszkał w jednej z tych drewnianych chałupinek przy Browarnej.

To miasto jest niskie, parterowe, po części drewniane, dziwaczne, kiszkowate, pokryte walącymi się ruderami. Jednak te już niemal rozlatujące się domostwa nie chcą poddać się starości. Trzymają się ziemi nadgniłym fundamentem. I trwają. Cała Zduńska Wola z jednego jej krańca na jej kraniec drugi jest klasycznym omaiże przykładem robotniczego osiedla epoki kapitalizmu. Ta druga Zduńska Wola stanie się faktem w połowie lat osiemdziesiątych. Do wszystkiego czasu trzeba. Był czas budowy przemysłu. Czas pełnego zatrudnienia. Każdy czas ma swoją twarz. Nastał teraz czas mieszkań. To miasto porwał bieg wydarzeń, który je od podstaw zmienił i przeobraził.

— To moje — powiada Górniak, zataczając wolno dookoła ręką. — Wspinałem się całe życie, mozolnie, w wielkim trudzie, od tych najniższych szczebli. Od tkacza na brygadzistę, od brygadzisty na majstra, potem na kierownika tkalni. Sam, wszystko sam, książki to pożerałem, żyłem nimi, uczyłem się po nocach bez niczyjej pomocy. Teraz całym moim życiem jest wnuczek, Krzysztof ma na imię.

Idę wzrokiem za kierunkiem ręki Górniaka. Wpatruję się w domek. To sędziwy już drewniak. Postawiony starodawnym sposobem na zrąb. Stoi mocno, żeby się nie ugiął. Kryty papą. Ma wąskie okna. Wewnątrz jednak wygody, jakich nikt ani by się spodziewał. Jest centralne. Są te inne rzeczy, które znajdzie się tylko w najnowocześniej urządzonych mieszkaniach. Fasady myła. Po zewnętrznych murach trudno dziś niezmiernie rozpoznać jak kto mieszka rzeczywiście. Przed domem ogródek. Grządki są równiutkie. Spulchnione, wynawożone, porobione z najwyższą starannością.

— Krzysztofka wychowuję po japońsku — odzywa się Górniak. — Niczego mu nie wzbraniam, wszystko mu wolno, żeby nie miał tych różnych potem zahamowań i rozwijał w sobie zaradność. Córce się to nie podoba, chciałaby go prowadzić za rączkę. Ale postawiłem na swoim. O czym to ja mówiłem? Ach tak, widzi pan, córka jest inżynierem. Skończyła Politechnikę Łódzką. Pomyśleć, że kiedyś był jeden inżynier na całą Zduńską Wolę. Pan Arlet, u którego robiłem na krosnach.

Spoglądamy teraz poprzez osobliwie piękną i soczystą trawę, na zwartą bryłę seminarium i zakon orionistów. Na przyciśnięte do ziemi, ongiś chałupnicze domostwa. Na dalekie bloki mieszkalne. Stare przeplata się z nowym i powstaje z tego najdziwaczniejsza mieszanina. Jest cicho i spokojnie. Jest ciepło i majowo. Górniak otwiera furtkę i zaprasza gestem do ogródka. Pachnie jak w oranżerii. Wpatruję się ukradkiem w Górniaka. Co za człowiek. Wygląda zadziwiająco schludnie. Na spodniach kanty. Czyściutka koszula. Porządnie zawiązany krawat. Wyszczotkowane trzewiki. Ten człowiek przeszedł przez życie cichym, pracowitym krokiem. I pozostał sobą.

— Córka mnie przeskoczyła — roześmiał się Górniak. — A wnuczek to już powinien koniecznie przeskoczyć córkę. Do góry, wciąż do góry. Inaczej skąd by się miał brać postęp? Gdyby jedna generacja nie przeskakiwała drugiej generacji. Do przodu do przodu.

Po dłuższym milczeniu Górniak znów się odezwał.

— To tak samo jak to, że nowa Zduńska Wola przeskakuje starą Zduńską Wolę. Miasto płynie, płynie ani myśli tych żagli skracać. Widział pan co tu się wkoło dzieje?

Przytaknąłem.

Praca wyróżniona w konkursie na reportaż o Ziemi Sieradzkiej.

JERZY PORADECKI

KŁOPOTY FIRMY PORTRETOWEJ

Foto: I. Strzemieczna

I. Autor usprawiedliwia się

Przedstawiam czytelnikom esej o powieści Wandy Karczewskiej „Wizerunek otwarty". Po raz pierwszy została ona wydana w 1962 roku, w roku obecnym wznowiło ją Wydawnictwo Łódzkie. Niestety, nie jest to ostatnia nowość, niestety przedstawiam tylko esej o jednej powieści.

W ostatnich latach zanotowane myślenie o literaturze współczesnej znikło z łamów tygodników. Objętość recenzji kurczyła się coraz bardziej, aż wreszcie ostały się jedynie krótkie notki o zawartości książki i parę przypadkowych ocen o charakterze raczej reklamowym, niż rzeczywiście oceniającym. Tymczasem literatura, której nie towarzyszy refleksja analizująca, stawała się czytelnikom coraz bardziej obojętna. Każde nowe dzieło pojawiało się w próżni. Nie miało żadnej tradycji i jego przyszłość była równie wątpliwa. Gdzie te czasy, kiedy jednej książce tygodnik poświęcał czasem ponad dwie kolumny, kiedy kontrowersyjne wypowiedzi krytyków wywoływały lawinę dyskusji ciągnących się miesiącami.

Usprawiedliwiam się więc, że wbrew panującym zwyczajom poświęcam sporo miejsca książce już prawie zapomnianej. Książka żyje tylko wtedy, gdy ją co pewien czas odczytujemy, gdy o niej rozmawiamy. Tylko w nieustannie ponawianej rozmowie o książkach dawnych i nowych możemy uzyskać trochę świadomości własnej kultury, „obejrzeć się w jestestwie swoim", jakby powiedział Maurycy Mochnacki. Jeżeli nie chcemy zamienić naszej kultury w kulturę cieni i kartek katalogowych, do tych rozmów o książkach musimy powrócić.

Nie będę chwalił książki Karczewskiej. Wśród milczenia prasy w ostatnich latach dokonywała się poważna przemiana w naszej wrażliwości, wartościowaniu, świadomości tego, co jest istotne w literaturze ostatniego trzydziestoparolecia. Jedne dzieła odchodziły w niepamięć nie pożegnane, inne powracały narzucając się zapoznanymi onegdaj wartościami, których z braku rozmowy nie potrafimy nazwać, wobec których jesteśmy w dużym stopniu bezradni. Książka Karczewskiej moim zdaniem należy do tych, które trzeba ponownie przeczytać, przedyskutować. Trudno ją zestawiać z innymi, bo i z którymi: czy z tymi, które swego czasu zyskały sławę a teraz nas nic nie obchodzą, tak bardzo nie obchodzą, że nie próbujemy ich nawet przeczytać, czy z tymi, których potrzebę przeczytania odczuwamy, ale nie bardzo wiemy dlaczego, bowiem publicznie nie rozmawiamy o nich. Wszystko pozostaje w sferze prywatnych intuicji i przekonań. Niechby one wreszcie ujawniły się, pokłóciły ze sobą, niechby wreszcie z tej dyskusji wyłonił się nowy, atrakcyjny i ważny dla nas obraz dorobku literatury powojennej.

II. Takie jest życie

Przywilej rozumiejącego i współczującego kiwania głową w obliczu ludzkiej szamotaniny życiowej zagwarantowali sobie tzw. rasowi epicy. Czy to będzie poemat Homera, czy powieść dojrzałego realizmu, np. „Wojna i pokój", podmiot autorski wie i rozumie tak dużo, że żadne cierpienia ludzkie nie są w stanie odebrać mu fascynacji i podziwu dla samego Życia. Wszystko przemija, tylko ono trwa wiecznie, majestatyczne i wspaniałe, niezniszczalne wbrew osobistym doznaniom na krótko pojawiających się na ziemi istot ludzkich. Los, przeznaczenie, cierpienie dane człowiekowi, są nieusuwalne, muszą się wypełnić. Po stoicku trzeba się z nimi pogodzić. Jest to jedyna szansa, by przeżyć coś ze wspaniałości świata i życia. Zresztą nie tylko przeżyć, także zrobić coś pożytecznego dla tego oszałamiającego kosmosu życia i istnień ludzkich.

W powieści Karczewskiej wszystkie te epickie wątki możemy odnaleźć. Paweł Sikora, dziecko niewiadomego pochodzenia, porzucone przez przybranych rodziców, już u samego początku swojego życia jest skazany na późniejszą samotność i wędrówkę. Jego rodzice, bardzo niedobrane małżeństwo mimo wszystkich wysiłków, będą musieli wyruszyć własnymi, mało znanymi drogami, wreszcie zaginąć gdzieś w świecie. Brak nawet wiadomości o tym, czy żyją, czy też pomarli. Dziadkowie Pawła, borykając się z życiem, w miarę własnych możliwości i umiejętności wychowujący obce dziecko, pozostaną sami nie mając sił umrzeć, zanim nie pojawi się od lat oczekiwany syn, lub przybrany wnuk. Znakomity materiał na kilka przeraźliwie smutnych dramatów. Jednak nie. Decyduje o wszystkim perspektywa, z jakiej ogląda ich życie narrator. I taką perspektywę narzuca on czytelnikowi:

„Czy widzicie to pole zasiane łubinem, a za nim stawy cegielniane ze śliwkową mgłą, ponad którą unoszą się gałęzie drzew zasłaniające nieco dach? A na dachu tego małego klęczącego człowieczka? To właśnie dziadek Sikora. Cóż on robi? Czyżby się modlił? Nie, on robi rzecz nieskończenie ważniejszą — naprawia dach".

Paweł Sikora nie jest wprawdzie wszechwiedzącym bogiem realistycznej powieści, usiadłszy jednak z dala, pod kopką siana, uzyskał odpowiedni dystans wobec wydarzeń, by uzyskać te prawa wobec świata przedstawionego, które przypisywał sobie epik.

III. Smutna historia Pawła

Jakkolwiek jednak daleki, jest to tylko Paweł Sikora. Mężczyzna i pisarz, który jeszcze zbyt wiele w swoim życiu nie potrafi sobie wyjaśnić, by pozostać wobec opisywanej materii bezinteresownym. Fikcja w jego powieści jest wyraźnie podszyta autobiografizmem. Dzieło jego nie jest bezinteresowne. Jest przecież i kolejnym szczeblem w karierze pisarskiej, i próbą zrozumienia siebie, i auto-psychoterapią. Otworzywszy więc szufladę z powieścią epicką znajdujemy w niej kolejną szufladę z powieścią psychologiczną. Karczewska zachowuje najważniejsze rygory psychologizmu w literaturze. Podstawową zasadą analizy jest introspekcja, traktowanie zdarzeń jako znaków, z których można odczytać cechy własnego charakteru, osobowości. Celem narracji nie jest opowiedzenie fabuły, ale zrozumienie siebie. Najlepszą drogą do osiągnięcia tego celu jest powrót do źródeł, a więc do dzieciństwa i wczesnej młodości. Potraktujmy ten wątek krótko, jako że jest jednym z bardziej typowych w literaturze. Historia dziecka nieznanych rodziców, adoptowanego w dość niecodziennych okolicznościach, potem porzuconego, wychowywanego przez dziadków, przeżywającego niepokoje związane z niepewnością swojego statusu rodzinnego, społecznego, wraz z typowymi dla młodości niepokojami światopoglądowymi, erotycznymi — znamy to z wielu powieści. Dorosły Paweł, nieudacznik, cierpiętnik (we własnym mniemaniu), człowiek wykorzeniony, bez domu... Też znamy. Brak tu jedynie końca, choć w powieści są dwa zakończenia, choć to drugie zapowiada koniec nieodwołalny.

Ostrożnie mówiąc powieść psychologiczna w powieści Karczewskiej, mimo iż zajmuje najwięcej miejsca, nie została ukończona. Zresztą koniec nie był potrzebny.

IV. Duchowe cierpienia na tle epoki

Koniec nie był potrzebny, bowiem czytelnicy aż nazbyt dobrze znali go z literatury współczesnej. „Wizerunek otwarty" ukazał się w 1962 roku. Jakże niewielu wtedy oparło się pokusie wracania do krainy dzieciństwa. Z reguły powracali z niej do egzystencjalistycznej koncepcji człowieka tragicznego, skazanego na wolność, nie mogącego się odnaleźć w żadnym porządku, ani porządku rodziny, ani społeczeństwa, ani pracy, ani nawet w biologicznym porządku seksu, jedzenia i spania. Trudno oprzeć się pokusie porównywania powieści Karczewskiej np. z „Życiem dużym i małym" Wilhelma Macha. Karczewska, w przeciwieństwie do Macha, nie wierzy już w serio tego typu psychologizowania. Jej bohater wyczuł w owym rozdrapywaniu ran dzieciństwa modę kilku ostatnich lat. Czuje, że bawiąc się w takie analizy, nie dociera do prawdy, jedynie stylizuje siebie na człowieka epoki, jeżeli te kilka lat można nazwać epoką. Jest zbyt słaby, by od tej mody uciec, ale jednocześnie zbyt inteligentny, by nie wiedzieć, że wkłada pożyczany już wielokrotnie strój. Pokazuje czytelnikowi język, gra na nosie, ale z drugiej strony, ten dziwaczny strój na coś mu się przydaje. Nie może się więc go pozbyć ale też i nie może go zaakceptować.

V. Chce mi się jeść, więc jestem

Upozowany na egzystencjalistycznego „człowieka tragicznego" Paweł Sikora odgrywa swoją grę z uczuciem wstydu. Przesadza więc w gestach. Parafrazuje czasem to Sartre'a, to Camusa. Robi to tak, jakby wiedział, że można być bohaterem tragicznym posiadając imię Paweł, nie można nim być natomiast nazywając się Sikora.

Paweł może sobie pozwolić na taki „przeraźliwy" opis snu — symbolu ludzkiej egzystencji:

„Nagle pająk rzucił się w dół, zdawało mi się wprost na moje rozchylone od trwogi usta.(...) Widziałem jego wielki odwłok, przeszywające mnie wypukłe oczy. Myślałem w popłochu: „»Świat się na mnie czai potwornym pająkiem, chce mnie zmiażdżyć...«"

Ale Sikora musi dodać: „a oni — chrapią!"

Paweł powtarza za Roquentinem z „Mdłości" Sartre'a słynną scenę spoglądania w lustro. Tak jak tamten odnajduje w nim tylko nieforemną, bezkształtną obcość, nie swój wizerunek. Ale Sikora za chwilę łapie za garnczek z kapustą; „Bowiem Osobnik bez możliwości określenia własnej osobowości jedno na pewno odczuwał. — Głód; Głód był jednoznaczny i on mnie ocalił przez kompletną dezintegrację".

VI. Lustra

Jest jeszcze jedno lustro, przed którym stanął Paweł Sikora, podobnie jak w owej scenie przypominającej „Mdłości" Sartre'a. Tym głównym lustrem, w którym przegląda się pisarz-bohater jest powieść przez niego pisana.

Wiele już czasu minęło od chwili, kiedy powieść porównana do zwierciadła przechadzała się po gościńcach. Przyszły czasy, gdy pisarze zapragnęli odbicia nie wizerunku drogi i wędrujących nią ludzi, ale własnej osoby. Modna i zresztą potrzebna, stała się powieść jako kryptoautobiografia. Sprawdzianem prawdziwości dzieła stała się najbardziej autentyczna biografia pisarza, a że powieść nie może istnieć bez fikcji, cała zabawa w literaturę zaczęła być grą między wyznaniem a mistyfikacją. W trzy lata po „Wizerunku otwartym" ukazała się chyba najdoskonalsza powieść w tym gatunku, „Wyrok śmierci" Louisa Aragona. W jednym z rozdziałów pisarz dokonał bardzo istotnego i ciekawego odwrócenia; potraktował lustro jako powieść. W gruncie rzeczy jest to najbardziej logiczna konsekwencja takiej postawy pisarskiej: kiedy autor chce patrzeć głównie na siebie, rzeczywiście nie musi pisać powieści, zwykłe lustro wystarczy.

Paweł Sikora pisze powieść dla innych, ale jednak przede wszystkim chce zrozumieć siebie. Rzetelność nakazuje mu zbytnio nie fałszować postaci innych bohaterów. Ich prawda daje mu bowiem dodatkowe możliwości poznania siebie poprzez analizę ich reakcji na jego postępowanie. Jest to nie tyle powieściowa technika punktów widzenia, ile szereg dodatkowych lusterek ustawianych dla wzbogacenia własnego obrazu. Zabieg jest interesujący, w założeniu gwarantuje bowiem większą dozę obiektywizmu w przedstawianiu rzeczywistości. Ale ponieważ ta rzeczywistość, to przede wszystkim jedna osoba, Paweł Sikora — autor powieści o sobie, zbyt daleko posunięta prawda zaczyna być krępująca, bowiem któż z nas jest bez winy.

VII. Wizerunek z wąsami

„t w o r z y; tworzy nie istniejący do tej pory świat, a w nim siebie nowego na obraz i niepodobieństwo swoje, ponieważ twarz, którą nosił do tej pory, przetarła mu się od zbyt długiego używania i jest nia sam tak znudzony, a przy tym znużony swoją dotychczasową jednostkową wizją świata, obcą wizji ludzi wierzących w sens każdego działania, że ogarnęła go nagła i niepohamowana chęć domalowania sobie wąsów; właśnie".

Wszystko byłoby zbyt proste, gdyby nie te wąsy właśnie. Pomówiliśmy sobie o epickości, o psychologizmie, o zmyśleniu i prawdzie w powieści. Ale co zrobić z wąsami? Nikt z czytelników nie miałby do autora pretensji, że nie mówi wszystkiego o sobie. Z pewnością bylibyśmy raczej zażenowani jakimś typem ekshibicjonizmu. Ale przecież, by nie pokazać siebie nagiego, wystarczy nie rozbierać się do końca, nie trzeba przyprawiać sobie wąsów.

Jest w tym coś z pozy, zgrywy. W życiu jest to dość pospolicie spotykane. Natomiast, jeżeli pisarz cierpi egzystencjalne niepokoje, a nie należy do żadnej artystycznej cyganerii, sensu tej pozy należy poszukiwać gdzie indziej. Zapewne w samej sytuacji twórczości. I to nie tylko z powodów niżej wyłuszczonych: „Panie, strzeż moją głowę od guza, jeśli stanę na drodze pewnej pięknej sowiookiej sąsiadce z facjatki, »pani stójkowej«, która się może rozpozna w Zielononóżce".

VIII. Trudno być pisarzem

Trudno nie tylko dlatego, że skądś trzeba brać materiał do tworzonych przez siebie postaci bohaterów, co niejednokrotnie grozi guzem. Żeby napisać powieść, trzeba dość dobrze wiedzieć, czym ona jest. Każdy gatunek literacki ma pewien przypisany mu w naszej świadomości na stałe zespół cech, których przy pisaniu nie można zapoznać pod groźbą napisania zamiast np. powieści byle czego. Pozostać w obrębie tych znanych już cech, to zgodzić się na wtórność, na banalność, wykroczyć poza nie jest niebezpiecznie. Każda epoka, lub „epoka", ma swoje własne wyobrażenia o ideale powieści. Gombrowicz powiadał o „Gębie", którą można przysłonić własną twarz. Ten motyw na pewno pojawia się także w cytowanym w cz. VII fragmencie powieści. Karczewska przeciwstawia interpretowanej w kategoriach tragicznych „gębie" „wąsy".

Można powiedzieć, że to nie jest wyjście, że prosta wymiana serio na buffo niczego nie rozwiązuje. A jednak. Wspomniany już Wilhelm Mach w „Górach nad czarnym morzem" nie dał sobie rady z rozwiązaniem problemu powieści właśnie dlatego, że chciał pozostać tylko w sferze serio. Karczewska domalowała Pawłowi wąsy. Dzięki temu ujawniła pozorność wielu problemów uważanych za nierozwiązywalne. Metafizykę sprowadziła do przepisów kucharskich; „Dziadek jest w ogóle przepisowy, choć z przepisów na to, co ma być konkretne, jednoznaczne, a zarazem uniwersalne — nowatorskie, a jednocześnie nie zrywające z tradycją — najlepsze są zaktualizowane na dzisiejsze możliwości przepisy kucharskie pani Ćwierciakiewiczowej".

Wszystko jasne — z taką świadomością można być słynnym pisarzem o nazwisku Paweł Sikora. Jak jednak być cenioną pisarką o nazwisku Wanda Karczewska?

IX. Lepiej być czytelnikiem

Czytelnik lubi czytać czasami nowoczesne powieści. Wie, że jeżeli jest to nowatorski utwór, znajdzie w nim właśnie to, co obecnie jest uznawane za nowatorskie. Wiedza ta ratuje go przed bezradnością wobec dzieła. Może sobie nawet pozwolić na poczynania bezprawne wobec książki. Z „Wizerunku otwartego" np. można usunąć „Założenie" i nie przeczytać tego co się mieści między „Końcem" a „Końcem nieodwołalnym". Ewentualnie można uznać wymienione części za mało istotne. W ten sposób otrzymamy dobrze napisany romans o niepokojach egzystencjalnych w stylu powieści lat 1955—1962.

Czytelnikiem lepiej być nie tylko dlatego, że można „zaliczyć" jeszcze jedną z powieści w modnym stylu. Lepiej też i dlatego, że można książkę przeczytać po latach. Zwróćmy uwagę na ten fragment rozmyślań bohatera:

„Zaczynałem niejasno przeczuwać, że jest jakiś biedny sens w codziennym, monotonnym rytmie życia, którego dziadkowie tak pilnie przestrzegali, jak przykazań bożych".

W 1962 roku, kiedy ukazała się powieść Karczewskiej, sytuacja sprzyjała odczytaniu następującemu: bohater jest inteligentny i wrażliwy, dlatego nie może znaleźć sobie miejsca na świecie. Zazdrości mniej inteligentnym, ale przecież to on jest od nich wartościowszy, a jest rzeczą naturalną, że za swoją „lepszość" musi zapłacić cierpieniem.

Dziś, kiedy aż nadto dobrze widzimy, że tzw. autentyzm postawy Pawła był przede wszystkim modą kilku lat XX wieku, inaczej oceniać będziemy dziadków. Tenże Paweł zakpi z nich w zakończeniu powieści, kreując sielankowy obrazek idealnych staruszków. Ale to przecież bohater powieści przesłonił ich obraz, nie jej autorka.

X. Spróbujmy porozumieć się z autorem

Nie jest to takie łatwe. Jeśli chcemy zrozumieć Wandę Karczewską a nie Pawła Sikorę. Rzeczywisty autor ucieka, zaciera za sobą ślady. Nie jest to niewidzialny, wszechwiedzący autor powieści realistycznej. Wyraźnie widać parodystyczny wobec mody lat zamiar Karczewskiej. Egzystencjalista z przyprawionymi wąsami jest śmieszny. Ale czy tylko tyle jest w tej powieści. Czy jest ona jedynie parodystycznym negatywem wielu utworów pisanych w stylu serio. Nie. Myślę, że „Wizerunek otwarty" posiada wiele cech tradycyjnej powieści obyczajowej. Paweł Sikora jest człowiekiem epoki. Przedstawiony z dystansem, czasem z ironią, czasem ze współczuciem, w niektórych fragmentach włączony jest w wielkie przemiany społeczne XX wieku. U dziadków na pięterku mieszkają biedacy, uczestniczy, co prawda przypadkowo, w manifestacji robotniczej, bywa w domu przedwojennej inteligencji. Tenże Paweł przeżywa to, co musi przeżyć każdy chłopiec wtajemniczany stopniowo w życie dorosłych, w sprawy erotyczne, w tajniki poczucia odpowiedzialności i więzi społecznej.

Zaczęliśmy od problemów epiki i do nich wracamy. Trzeba się jednak zatrzymać na początku drogi. Potrzebne są teraz porównania. Nie bez przyczyny we wstępie narzekałem na brak nieustannej pracy myślowej nad rewalorvzacją literatury ostatniego trzydziestolecia. Powinienem w tej chwili porównać powieść Karczewskiej do innych powieści. Jednak naprawdę porównujemy tylko jedna interpretację z inną interpretacją. Dobrze, jeżeli obie interpretacje są z „naszych czasów". Jakże jednak mogę porównywać moją interpretację powieści Karczewskiej dokonaną w r. 1977, z interpretacjami z lat 1960—1965. Jakże i po co? A w końcu będziemy musieli się do tego zabrać. Zapewne „Wizerunek otwarty" okaże się wartościowszy od wielu słynnych wtedy utworów. Zapewne. Więc sprawdzajmy.

TOWARZYSZYMY SŁAWNEJ TANCERCE

Rzecz zaczyna się intrygująco: na odczycie o historii Słupska, w tymże mieście zjawia się niespodziewanie dama olśniewającej urody, w której obecni notable i miejscowi intelektualiści poznają dawną mieszkankę nowowojewódzkiego grodu, obecnie tancerkę o europejskiej randze. Napięcie rośnie po obu stronach stołu prezydialnego i niebawem udziela się czytelnikom. Sławna przybyszka kogoś szuka oczyma na sali, na kogoś z wyraźnym przejęciem czeka. Ilość znaków zapytania zwiększa się i jest ich bez mała tyle, co na pierwszych kartach „Marii" Malczewskiego.

Jeszcze tylko jedna mocna scena z retrospekcji i nasze napięcie z wolna opada, aż zatrzymuje się w nie tak znów znacznej odległości zera. Bo jakkolwiek artystka przez kilka dni z rzędu szuka — wiemy już kogo: pracującego tu chlubnie inżyniera, przedmiotu świeżo ulokowanych uczuć — zaintryggowani czytelnicy pierwszego rozdziału mają już coraz więcej danych na to, by domyślić się, że nie wzięli do ręki ani książki o ostrych konfliktach, ani „czytadła".

Julita poszukuje wspomnianego pana zadziwiająco niemrawo, choć pan to nie igła, a Słupsk nie stóg siana. Bohaterka książek z pogranicza eseju i opowiejąco mało konkretną i jasną dla czytelnika psychomytję, ale dałby Bóg, obyśmy nigdy nie przeżywali silniejszych. Niby zastanawia się nad przyjęciem bajecznie atrakcyjnego engegement na Zachodzie, ale z góry domyślamy się, że nie opuści kraju. Julia wspomina wczesną swą młodość w tym mieście i porównuje... I tu właśnie nie dodaję „niby" i „ale", bo właśnie o to w książce chodzi i z tą myślą została napisana.

Przypomnijmy najpierw, że Maria Szypowska, poetka i popularna autorka książka z pogranicza eseju i opowieści o pisarzach i artystach dziewiętnastego wieku (z których najbardziej znaną jest wielokrotnie wznawiana „Konopnicka, jakiej nie znamy") od lat z powodzeniem specjalizuje się wraz z mężem, artystą-fotografikiem w wydawnictwach o charaktetrze albumowo-reportażowo-eseistycznych o ciekawych regionach i miastach polskiego Zachodu. Przenosząc doświadczenia z tej pracy do beletrystyki i zgodnie z charakterem swej wrażliwości pisarskiej stworzyła własny bodaj genre powieści hiedramatycznej, o rozluźnionej fabule, która służy jako rodzaj blejtramy — do usztywnienia płótna, na które autorka, niczym malarka pointylistka nanosi swe duże i małe, z lekka impresyjne obserwacje z oglądanego i przeżywanego miasta. A zatem powieść Szypowskiej jest zakamuflowanym reportażem. Za poprzedniczkę „Powrotu Julii" — „Wiadro pełne nieba" — powieść o zakładach kędzierzyńskich i ich ludziach — autorka otrzymała przed kilku laty nagrodę CRZZ. Powiedziałem „kędzierzyńskich", tu powtarzam „Słupsk", „słupski", ponieważ poetyka powieści tego genre'u wyklucza właściwie żelazną w utworach, których akcja toczy się poza Warszawą, anonimowość, względnie pseudonimowanie miejsca wydarzeń.

Nie przykładajmy zatem do oceny „Powrotu Julii" narzędzi krytycznych używanych do recenzowania powieści sensu stricto. Wnioski wywiedzione z przyłożenia tamtych miar okażą się bałamutne.

Główna bohaterka nie stanowi konsekwentnego studium charakterologicznego, pełni w książce, że sięgnę po nadużywaną metaforę, rolę lustra rozumnego, wiedzącego, gdzie wędrować i co odbijać (również i czas zapamiętany, do czego służą w znacznym stopniu owe ładne, impresyjne retrospekcje i ogólnikowe rozterki duchowe). Pomagają jej oprowadzać nas po mieście, a też przekraczać tam i z powrotem granicę między czasami: kalendarzowym i utraconym — jej siostra słupszczanka, szwagier, dzieci, a i... urocza para młodzieżowa polsko-francuska. Towarzysząc głośnej tancerce w jej niby poszukiwaniach ukochanego (oraz przy pełnieniu wyjątkowym w jej życiu obowiązków dobrej cioci z dalekiego miasta Warszawy i w ogóle z wielkiego świata), poznajemy mimochodem i w dawce łatwej do przełknięcia i słowińsko-piastowską zamierzchłą przeszłość Ziemi Słupskiej i jej przeszłość w granicach Monarchii Pruskiej i „Tysiącletniej Rzeszy", a także mocno już oddaloną w pamięci i przez tysiące drobnych i niebagatelnych zmian przeszłość sprzed lat trzydziestu... dwudziestu... dziesięciu. Poznajemy wreszcie współczesność miasta prężnego, ambitnego, wrażliwego na wartości kulturalno-humanistyczne, miasta nie ogarniętego jeszcze epidemią pośpiechu do utraty tchu za dodatkowym zarobkiem, dostaniem się w układy itp. Równą rangę co oddaniu kilkuczasowego oblicza Słupska poświęca Szypowska oddaniu codzienności, powszedniej krzątaniny i obyczajowości rodziny typowej dla — od pokolenia już — stałych mieszkańców miasta. Szczególnie dużo spostrzeżeń daje nam w tym względzie wielostronicowe obcowanie z siostrą Julii — słupszczanką Martą, doskonałą gospodynią, osobą zorganizowaną, o dużej pogodzie ducha, inteligencji i takcie, obnoszącą z lekką kokieterią, bo wcale nie na serio, swój kompleks Marty ewangelicznej — tej krzątającej się wokół przyziemnych spraw domowych w tym samym czasie, gdy siotra jej, Maria, wyższa nad przyziemne sprawy, słucha podniosłych nauk Pana.

Jeśli zatem — konkludując — nie będziemy traktować „Powrotu Julii" jako książki, od której wymaga się silnej konstrukcji, pasji dratargicznej, bądź czegoś w rodzaju krzyżówki intelektualnej do rozwiązywania w domu na tapczanie, lecz jako wspólną z autorką i żywymi bohaterami książi przechadzkę po tym prężnym mieście, dającym sobie świetnie ze sobą radę i nie przeklinającym odległości od Warszawy — przeczytamy ją z dużą przyjemnością i pożytkiem, a i z uczuciem, jakiego doświadcza ktoś łaknący bądź przepity ekstraordynaryjnymi trunkami dla snobów, gdy zaczerpnie w gardło źródlanej, krystalicznej wody. Rodzina, nad której życiem Szypowska, jakby w zmowie z Diabłem Kulawym Lesage'a uchyliła dach, nie wybrzydza na ogonki, nie wnosi pretensji do Pana Boga i komitetów za wszystko i za nic, szanuje się nawzajem, nie używa w nerwowych, rannych dialogach nagminnej dziś, familijnej „łaciny". Posiada też dar dostrzegania proporcji między igłą i widłami.

Z całym przekonaniem polecam tę książkę Czytelnikom.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Maria Szypowska „Powrót Julii", „Pojezierze", Olsztyn, 1977, cena zł 30. —

PRAWDA NA POGRANICZU SNU

„Była to oczywiście prawda, nawet gdy się zważy, że wszystko działo się na pograniuczu snu" — stwierdza narrator powieści Jana Drzeżdżona „Leśna Dąbrowa". „Jest to powieść o mieszkańcach wsi leżącej z dala od świata, pośród lasów i jezior, do której rzadko zagląda ktoś obcy" — zakomunikował autor notatki o książce zbierając w. enia z pośpiesznej wizyty w Leśnej Dąbrowie.

Leśna Dąbrowa jest z woli autora jedyną okolicą, jedynym teatrem spraw jej mieszkańców; nie jest to wieś — lecz tylko miejsce na ziemi wśród lasów i wzgórz — niewysokich. Z rzadka zaglądał tam obcy i obcym tam będzie także czytelnik — w owej rzeczywistości prawdziwej, ale z pogranicza jawy i zwidzeń. Łatwo byłoby oczywiście — określając charakter owego przemieszania doświadczonego i wytworzonego (przypomnianego) — zaklasyfikować autora, dołączyć go do wyznawców określonej mody literackiej, wypomnieć mu wpływ określonych lektur — narzuconych zresztą przez profesję. Byłoby to ro 'iczanie zawodowca przez zawodowca — z zawodu poniekąd.

Myślę, że uczciwiej jest zastanowić się, co wyniesie czytelnik (z sobą, w sobie) wracając z pobytu w Leśnej Dąbrowie, jeżeli już zdecyduje się na obecność w niej aż do ostatniej strony.

Rachunek przychodzi zacząć od nieoczekiwanych strat (lub — odwracając sprawę — od niespełnionych oczekiwań). Nie sprezentował nam autor książki, o rodowodzie łączącym go z arcyciekawą (teoretycznie moim zdaniem) kulturą kaszubską, autentycznego języka, autentycznych obyczajów — nawet nie swego środowiska rodzinnego (boć to uważane jest współcześnie za brak s z e r s z y c h ambicji), ale życia wymieszanego z obrzędem, objawiającego podświadomość kulturową w o g ó l e ludową, w o g ó l e niemiejską. Wizja świata umotanego w archetypach, wspólnoty wiejskiej realizującej mityczne dziedzictwo przedstawione nam zostało w tworzywie z „innego świata", opowiedziane po prostu językiem „uniwersyteckim". „Słownik" narratora i mieszkańców jest wspólny, ale obcy Leśnej Dąbrowie. Razi tym bardziej, że w konstruowaniu wypowiedzi autor starał się korzystać ze sposobów najprostszych, jak najbardziej zbliżonych do nieskomplikowanej wbrew pozorom, bliskiej p o c z ą t k o w i egzystencji dąbrowian. Stąd określona (i w całej powieści obowiązująca) forma dialogu, np. „Czy Helena jest między nimi, spytałem. Tak, Helena jest pomiędzy nimi, odparli". Stąd „gawędziarski", opisowy a unikający precyzji, skrótu charakter tytułów rozdziałów (choćby: Dlaczego Helena tańczyła nocą w kuźni przy dźwiękach gitary, Prowadzą mnie za ręce, mimo że nie jestem ślepy). Niekoherencja obrazu i języka wsparta niejednolitością samej językowej konstrukcji wypowiedzi powoduje, że obcemu trudno czuć się w Leśnej Dąbrowie swojsko, jak w miejscu dobrze „urządzonym".

Nie ulega wątpliwości, iż autor nie zamierzał w ukazanych losach dąbrowian zawrzeć pełni określającego ich egzystencję, mitycznego dziedzictwa. Nie ma też żadnych śladów autorskich prób hierarchizowania wydarzeń i ich kulturowych uwarunkowań, wydarzenia owe nie układają się też w żaden uporządkowany ciąg zmierzający do określonego finału — konkluzji. Sądzę, że autor świadomie zrezygnował z takowych interwencji w sferę świata przedstawionego swej powieści, uważając to za zabiegi współcześnie przebrzmiałe. Niemniej „całość" nie zagrała sama z siebie, pozostał kalejdoskop scen i obrazów różnie odbieranych przez czytelnika.

Wydaje mi się, że i w samych intencjach autora zauważyć można kolejną nieskonsekwencję. Wygląda na to, że autor nie mógł się zdecydować czy utwór jego ma pozostać prezentacją społeczności wiejskiej realizującej mityczne dziedzictwo (bo takie były chyba pierwotne zamiary), czy ma się przekształcić w ujawnianie z dobrotliwym humorem paradoksów egzystencji zamkniętego środowiska społecznego.

Leitmotiwem działań dąbrowian jest ciągle narzucana okolicznościami próba zmiany miejsca, gromadny marsz w jakimś określonym kierunku i celu podejmowany z wysiłkiem i psychicznym napięciem, ale najczęściej bez efektów. „Dąbrowianie, rzecz jasna, donikąd nie doszli, a mimo to nogi ich bolały i byli utrudzeni śmiertelnie". W jednej z sytuacji tylko „miejscowy wariat" porusza się naprawdę i szybko oddala od gromady.

Z łagodną ironią traktuje autor samych dąbrowian, opatrując ich oczywiste zachowania oraz banalne wypowiedzi pełnym aprobaty komentarzem, oceną znacznie na wyrost lub sprzeczną z samym faktem. „Wynikało stąd, jak bardzo dociekliwi byli dąbrowianie, a jednocześnie skromni, nie wynosili się bowiem nad Bolesława, chociaż wyraźnie górował nad nimi wiedzą". Tego typu komentarz jest jedną z zasad narracji, pojawia się więc stale jak refren, choć rzadko przybiera tak rozwiniętą postać, jak w powyższym cytacie.

Podobnie rzecz się dzieje w przypadkach oceny walorów samej lokalizacji Leśnej Dąbrowy, gdzie też komentarz-opinia przerasta swą skalą opis. Ironiczną pointą tego typu zabiegów jest stwierdzenie: „Myślę, że to jest szczęście mieszkać w Dąbrowie".

Sądzę, iż ów ironiczny stosunek do dąbrowian i ich siedziby, gdyby objawiał się nie tylko w samym komentarzu narratora, a ogarnął i inne sfery wypowiedzi, uczyniłby Leśną Dąbrowę bardziej atrakcyjną — dla obcego — czytelnika. Uwikłany w próbę kreowania świata tkwiącego jeszcze w mitycznych uwarunkowaniach, żyjącego na pograniczu przebudzenia i snu nie mógł autor — nie łamiąc samej koncepcji powieści — wskazywać na społeczne konsekwencje respektowania praw właściwych zamkniętym, izolowanym środowiskom.

Stąd tylko jako niespełniona szansa, przedsmak tego, co można było osiągnąć przy kierowaniu się tą drugą koncepcją, pozostają znakomite literacko sceny (wykorzystujące zresztą znakomite literackie tradycje) — choćby wyboru sołtysa, polegającego na szlachetnej rywalizacji dwóch konkurentów w pisaniu wiersza, wygłaszaniu przemówienia, próbie ubicia wypuszczonej z klatki pchły (namiastka stemplowania), a wreszcie snuciu dymu. Równie atrakcyjną literacko jest kolejna (i bodaj już ostatnia tej klasy) scena wyprawiania narratora-nauczyciela z ideą Dąbrowy — na podbój okolic.

„Czy wiesz, Stanisławie, jaka idea jest najlepsza i jedynie prawdziwa, spytał znów sołtys głosem wielkim. Nasza, odparłem równie głośno, aż zatrząsł się las. To było piękne".

WIESŁAW PUSZ

Jan Drzeżdżon, Leśna Dąbrowa, WŁ, Łódź 1977, zł 14.

KRYSTYNA KWIATKOWSKA

ARS POETICA

że nie ma jeszcze kraju dla poetów,
że nie ma Miasta Nieśmiertelnych,
że nieskończone jest tylko to, czego nie było
i że nie sposób bez tego żyć —
— „Wobec kłamliwych jawnie słów..."
...słowa w kieszeni i plan podboju świata,
sowa, która patrzy na mnie z najwyższą ironią —
— jej żółte oczy,
okrągłe oczy lekarza —
— Już mówiłam, nie sposób żyć bez tego, czego nie ma,
to się zaczyna tam, gdzie nie wolno,
za ukrytymi drzwiami,
tam gdzie twoje nerwy
śpiewają jak na mrozie druty
wysokie, polarne Do
Do Synów Nieba którzy czasem
potrzebują i naszej pomocy
W domowej muszli chowam oswojoną sól
(ocean dawno zapadł się pod ziemię)
idę po piasku ostrożnie kurz światło
i każdy krok jest nadzieją lotu —
— spadam i to nie jest śmierć —
— przymykam oczy przez chwilę
w tej ciemności jestem osią i wokół mnie
kręci się świat
otwieram oczy i jak wszyscy
jestem na orbicie gwiazdy średniej wielkości,
a z rozrzuconych liter alfabetu
składam odpowiedź zawsze nieprawdziwą.
— „Wobec kłamliwych jawnie snów..." — można jeszcze
powtórzyć tamten gest
i strzelić do Boga.
Tak tak tak tak
nie sposób żyć bez tego, czego nie ma.
Ktoś już tak pisał na pewno: wiersz
powstaje zawsze nad brzegiem przepaści,
na końcu świata,
w ciemnym świetle ironii.

BOHDAN JACHOWICZ

Z CZERWIENI
(fragmenty poematu)

5.
zatoczyłem się w Piotrkowską
obok fabryki w której farbowano bandaże
— czerwona taśma spowijała twarze
kobiet

a one dyszały odorem farby
i zapachem pościelowego płótna
płatki bawełny wirowały
w otworach wentylacyjnych

wpadały i wypadały
przyczepiały się do włosów

na niebie krwawą łuną płonął dziwoląg językowy — neon

— jestem ranny — pomyślałem
— krew zalewa mi oczy
— ślepnę —
zasłoniłem oczy rękami
świeciły czerwono w miejscu w którym schodzą się palce
stopy i wieczność
bólu co niekiedy się przyśni
i azymut serca
zranionego
czerwienią

6.
aż kiedyś krew skrzepła
i świat wtulił się we własne bieguny
— kto teraz zechce
chociaż ubezwłasnowolniony
wycisnąć z ziemi resztę łzy
z człowiekiem spokrewnionej?
— kto czarne z białego wyrzuci wiersza?
i czy
znajdzie się ktoś
kto
zjadłszy wszystkie rozumy
zechce w tym świecie zamieszkać?

7.
— a w domu? —
prymulki wróżą alergię
i kaktus rośnie na dłoni
i bardzo poezji pięknie
w pidżamie z ciałek czerwonych

i cóż że poeta w czerni
że pełniej głos dźwięczy w nocy
wystarczy przecież utoczyć
krwi kroplę
by światło począć
— a wiersze? —
zdają się jasne
jak pościel dziewiczej żony
a na niej
zrodzony nocą
płatek czerwonej róży
i słowo białe
słowo czerwone
warkocz poezji plotą

Wiersze nagrodzone I i II nagrodą w Turnieju Poetyckim o Puchar Wina zorganizowanym przez Ośrodek Twórczości Młodych przy ŁDK oraz Związek Literatów Polskich.

ŁODZIANIE 1977

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Nazwisko Tadeusza Chróścielewskiego, poety, prozaika, tłumacza, filologa, a także seniora rodziny pisarskiej, obecnej kilkoma piórami we współczesnym życiu literackim, znane jest dobrze od lat w środowisku kulturalnym Łodzi. Mieszka bowiem w naszym mieście od 1946 roku, dokąd przybył z Mińska Mazowieckiego, miasta swej młodości (urodził się tam 3 czerwca 1920 roku), młodości — jak to sugeruje twórczość obficie z doświadczeń biografii czerpiąca — dostarczającej silnych i trwałych wrażeń, a co istotniejsze — wtajemniczeń i zauroczeń twórczych. W Mińsku Chróścielewski zetknął się z młodzieżą konspiracyjną, z pisarzami Polski podziemnej, których nazwiska, zwłaszcza niektóre, stać się miały niebawem symbolami tragicznego pokolenia. W 1944 roku pod pseudonimem Tadeusz Rokitniak ukazał się tomik poetycki Chróścielewskiego „Uczta Aureliana", wydany rzecz prosta nielegalnie. Nielegalne były też inne prace młodego autora — w tajnych kompletach uczniowskich.

Twórczość literacka, oryginalna i przekładowa, to obecnie już duży dorobek Chróścielewskiego, poszerzany jeszcze o szereg prac edytorskich i regularną praktykę krytyczno-literacką, poświęconą przede wszystkim analizie książek mniej znanych, przeoczonych, a wartościowych. Od tej strony czytelnicy „Odgłosów" poznawać mogą pracę pisarza najczęściej. Pełna bibliografia twórczości Chróścielewskiego jest zbyt długa, aby ją tu przedstawić. Wydaje się jednak, że dają wyobrażenie o sylwetce pisarskiej autora tomiki wierszy: „Najmilsze strony" (1956), „Itaka" (1958), „Miesiąc utajony" (1960), „Puste krzesło" (1967), „Wiersze opolskie" (1967), „Hipokrene warmińska" (1969), wybór „Karta powołania" (1973) oraz tomy prozy: „Rodzina Jednorożców" (1961), „Szkoła dwóch dziewcząt" (1965) „Szkarłatna godzina" (1968), „Aurelian albo zjazd koleżeński" (1971), „Srebrna i odloty" (1974), „Laska Matuzalema" (1974), „Dzbanek życia" (1977). Dodajmy przekłady z literatury rosyjskiej, białoruskiej, bułgarskiej, azerbejdżańskiej, litewskiej, łotewskiej, macedońskiej, niemieckiej, gruzińskiej, słoweńskiej, ukraińskiej, dodajmy szkice historyczno-literackie, eseje, opracowanie szeregu tomików „Biblioteki Poetyckiej" i almanachu „Rzecz Poetycka" Dodajmy wreszcie ciekawe wspomnienia, m.in. o Gajcym, Czerniku.

Jako pisarz Chróścielewski preferuje refleksję nad tradycją, szeroko pojętą, bo rodzinną, narodową, kulturową, mityczną. W powszedniości, w języku, w obyczajach widzi istotny rytm historii, ze szczególnym tedy pietyzmem i kultura, w których znać edukacje i fascynacje klasyką, utrwala je i poddaje dociekliwej, ale krytycznej pielęgnacji. Językiem, więcej kultura wysłowienia i kultura myślenia, przypomina mistrzów, przywołuje najlepsze wzory. Jest gawędziarzem w dawnym stylu, smakuje w języku prześnym, lecz także w dyskursie szacownym, nieraz łacina inkrustowanym. Te chyba walory, obok bliskich losom polskich rodzin tematom, jakie podejmuje, decydują o pozycji która wypracował sobie u czytelników, ceniących wiedzę, rozumny stosunek do przeszłości, staranną, rzeźbiarską pracę w poetyckim słowie, znajomość innych kultur, a także niewyrzekanie się tradycji własnej i lokalnej, co nieraz modne.

(JRZ)

KAZIMIERZ DĘBSKI

Kazimierz Dębski związany jest z Łodzią od wielu już lat. Artysta, pedagog, społecznik poświęcił się naszemu miastu bez reszty i aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym Łodzi włączając się w dzieło jego budowy i rozwoju z całą siłą swego talentu i szeroko znanych umiejętności organizacyjnych.

Trzy wielkie pasje Kazimierza Dębskiego walczą między sobą o palmę pierwszeństwa: muzyka, praca społeczna i sprawy młodzieży. Siła charakteru i niesłychana wprost, a wynikająca z głębokiej ideowości i zaangażowania pracowitość sprawiły, iż wszystkie trzy kwitnąć mogą równolegle, a owocują wspaniałymi zaiste efektami.

Umiłowanie muzyki sprawiło, że syn niezamożnego chłopa z podłódzkiej wsi rozwijał w sobie talent i pochłaniał wiedzę wbrew nie zawsze szczęśliwemu losowi. Wojna zastała go młodzieńcem. Lata walki z okupantem od problemów uchochanej przez Kazimierza Dębskiego dziedziny sztuki odsunęły go tak daleko, że powrót do niej wydawał się niemożliwy. Hart ducha okazał się silniejszy od tego lęku. Kazimierz Dębski legitymuje się dwoma dyplomami Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej.

Wielka pasja społeczna to nie tylko godne podziwu hobby Kazimierza Dębskiego, ale także motor wszystkich jego poczynań. Wytrawny artysta jest znakomitym organizatorem i pedagogiem. Od szesnastu lat kieruje Państwową Ogólnokształcącą Szkołą Muzyczną II stopnia w Łodzi, a kieruje nią tak, że może ona być wzorem dla wszystkich placówek tego typu. Kazimierz Dębski ogromnie oddany swojej szkole, jest przede wszystkim oddany jej uczniom. „Kocham młodzież — mówi dyrektor Dębski prosto i szczerze — pragnę przekazać jej całą moją wiedzę i doświadczenie. Muzyka uszlachetnia nas wszystkich, oby moi uczniowie sztuką, w której arkana wprowadzamy ich dzisiaj, sami kształtowali kiedyś ludzką wrażliwość na dobro i piękno". Kazimierz Dębski — światły pedagog, sprawiedliwy, serdeczny i po ojcowsku mądry wychowawca wiąże z funkcją nauczyciela wyjątkową odpowiedzialność. Młodzież swą wychowuje przez sztukę starając się jednocześnie kształtować w niej poczucie obywatelskiego obowiązku i odpowiedzialności za wszystkie życiowe poczynania. Przyjęta przez Kazimierza Dębskiego metoda przynosi znakomite rezultaty.

Sposób, w jaki Kazimierz Dębski znajduje czas i siły, by przy nawale zajęć związanych z kierowaniem szkołą, intensywnie i efektywnie pracować społecznie, pozostanie tajemnicą; tajemnicą, która wzbudza podziw i szacunek. To przecież pod jego właśnie opieką tak bujnie rozkwitła działalność łódzkich chórów. Dyrektor Dębski pełni funkcję przewodniczącego Łódzkiego Oddziału Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Jemu właśnie zawdzięczają łódzkie chóry swój obecny poziom.

Ukochane dziecko wśród chórów Kazimierza Dębskiego to powołany przez niego do życia znakomity zespół „Bel canto". Mniej od innych polskich zespołów tego typu znany, nie tylko nie odbiega od nich poziomem, ale dodatkowo cechuje się własnym, bardzo szlachetnym wyrazem artystycznym i najwyższym poziomem wykonawstwa.

Działalność artystyczna Kazimierza Dębskiego przynosiła kierowanym przez niego zespołom nagrody i wyrazy uznania. Gdzie szukać genezy tego regularnie powtarzającego się zjawiska? W ambicji twórcy? Na pewno tak, ale czy wyłącznie? Ambicja jednostki dziś już nie wystarcza. Kazimierz Dębski osiągnął wyższy stopień wtajemniczenia: swoją wielką pasją społeczną i artystyczną umiał zarazić innych.

Nie nazywajmy Kazimierza Dębskiego „łódzkim Stuligorszem". Brzmiałoby to może efektownie, ale nie oddawałoby precyzyjnie ani całości zasług i osiągnięć, ani jego charakteru jako człowieka i artysty.

(EP)

WOJCIECH DRYGAS

Nie jest łatwo redagować wysokonakładowe czasopismo. Jeszcze trudniej redagować wysokonakładowe czasopismo satyryczne. Wojciech Drygas potrafi dokazać tej sztuki z pogranicza ekwilibrystyki i podnoszenia ciężarów. Dawny zwiadowca z dywizji gen. Maczka, który potrafił dwanaście godzin pod gęstym ogniem nieprzyjaciela przesiedzieć na wieży z radiostacją i karabinem — okazał się najlepszym z najlepszych redaktorów czasopisma satyrycznego.

Jako dziewiętnastoletni chłopiec ruszył na wojnę z rodzinnego Poznania, by przejść bojowy szlak razem z tysiącami Polaków — przez Belgię i Niemcy wrócić do Polski i osiąść na stałe w Łodzi. Tutaj żołnierz zmienił karabin na pióro a spojrzenie zwiadowcy zmienić na wnikliwe i ostre spojrzenie satyryka i publicysty.

„Karuzela" ukazuje się w Łodzi, ale czyta ją cała Polska. 600 tysięcy nakładu pisma dociera nierzadko tam, gdzie poza gazetą codzienną nie czyta się nic. A jednocześnie „Karuzelę" czyta przysłowiowy Kowalski z Pcimia i docent ze stolicy. Szeroki i zróżnicowany krąg odbiorców — to jeszcze dodatkowa trudność w redagowaniu tego masowego pisma.

A jednak „Karuzela" kręci się z powodzeniem już równo 20 lat. Ponad połowę tego czasu redaktorem naczelnym jest właśnie Wojciech Drygas. Z urodzenia poznaniak — z wyboru łodzianin i to od ponad trzydziestu lat, zaczynał jako dziennikarz Polskiej Agencji Prasowej, której oddziałem łódzkim kierował przez wiele lat.

Owe reporterskie lata w agencji owocują Drygasowi nie tylko wrażliwością na sprawy i problemy dnia powszedniego Polaków. Owocują także szacunkiem i zaufaniem całego środowiska dziennikarskiego Łodzi. Od kilku kadencji Wojciech Drygas pełni funkcję prezesa łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, wchodzi także w skład Zarządu Głównego SDP a jego gabinet w „Karuzeli" zdobi Dyplom Honorowy Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy.

Tak już jest, że czytelnicy pisma mało wiedzą o redaktorze naczelnym. A pamięci czytelnika utrwalają się raczej felietoniści i publicyści. Ale przecież kształt pisma, jego charakter, poziom, zasięg czytelniczy — kształtowane są poprzez osobowość i doświadczenie kierownika pisma. Tego właśnie redaktora, którego nie zawsze spotykamy na łamach gazety, ale którego myśl, koncepcja i osobowość kształtują c a ł o ś ć pisma.

Jeśli „Karuzela" jest dziś pismem ambitnym, nic nie tracąc z szerokiego zasięgu, zasługa w tym Wojciecha Drygasa, który już jedenaście lat kieruje największym polskim czasopismem satyrycznym.

(JW)

TERESA MAY-CZYŻOWSKA

Micaela w „Carmen", Gilda w „Rigoletto", Fiordiligi w „Cosi fan tutte", Rozyna w „Cyruliku sewilskim", Małgorzata w „Fauście", Betsy w „Henryku VI na łowach", Konstancja w „Weselu Figara", Eteri w „Legendzie gruzińskiej", Violetta w „Traviacie", Dorota w „Krakowiakach i góralach", Królowa Nocy w „Czarodziejskim flecie", Marzenka w „Sprzedanej narzeczonej", Hrabina w „Weselu Figara", Mimi w „Cyganerii", Desdemona w „Otellu", Luiza w „Zaręczynach w klasztorze" — bogata i różnorodna jest galeria postaci stworzona na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego przez jego znakomitą solistkę, wybitną śpiewaczkę Teresę May-Czyżowską.

Talent, choćby nawet największy, nie przyniesie owoców, gdy jego rozwojowi nie towarzyszy intensywna praca. Teresa May-Czyżowska pracowała usilnie, często na przekór przeciwnościom, losu, ale — jak sama mówi — zawsze z życzliwą pomocą swych nauczycieli, byli nimi profesorowie: Maria Dütz, Wiktor Bregy i Olga Olgina.

Od czasu scenicznego debiutu Teresy May-Czyżowskiej minęło już piętnaście lat, jedenaście ostatnich spędziła w naszym mieście wiążąc się z nim na stałe ku zadowoleniu melomanów i dostarczając im coraz to nowych wzruszeń i najszczerszych przeżyć.

Co sprawia, iż każda z jej kreacji na długo zostaje w pamięci? Talent, kunszt wokalny, szlachetne aktorstwo — te walory są wymierne i oczywiste. W organiczną artystyczną całość jednoczy je w przypadku Teresy May-Czyżowskiej to, czego wymierzyć się nie da, a co jej sztuce nadaje owego ciepłego blasku: głębia najszczerszych ludzkich uczuć. „Ja przecież po to tylko śpiewam, by je ludziom przekazać, by o uczuciach powiedzieć im prawdę. Śpiewam o miłości i śmierci. Śpiewam smutek i radość. Śpiewam o wszystkim, czego tak często nie umiemy powiedzieć naszym zwykłym, codziennym językiem, o wszystkim, co siłą i treścią wyrasta ponad „wypowiedziane" tylko słowo, co zadziwia swoją wielkością, ogromem i mocą" — tak właśnie mówi artystka o swoim powołaniu. Huragany oklasków, jakie zrywają się po każdej ze śpiewanych przez Teresę May-Czyżowską arii są dowodem nawiązanego przez nią szczerego kontaktu uczuciowego ze słuchaczem i widzem. „Z tego kontaktu biorą się największe moje satysfakcje".

Owacyjnie nagradzamy każdy występ Teresy May-Czyżowskiej. Udział w międzynarodowych konkursach przyniósł jej cenne nagrody (1962 — Brązowy Medal na Konkursie Śpiewaków Operowych w Tuluzie, 1965 — I nagroda na Konkursie Śpiewaków Operowych w Budapeszcie, 1967 — Dwie nagrody specjalne: za najlepsze wykonanie pieśni Mozarta i nagroda Związku Kompozytorów Bułgarskich w Konkursie Wokalnym w Sofii, 1969 — I nagroda Konkursu Śpiewaków Oratoryjnych w Grazu (Austria). Teresa May-Czyżowska ukończyła także Wydział Oratoryjny Akademii Muzycznej w Grazu.

Z ust Pani Teresy — wybitnej artystki, która każdą swą rolą potwierdza słuszność takiej oceny, nigdy nie pada słowo „kariera". Pani Teresa niechętnie tego słowa słucha. Zaciekawionemu takim faktem rozmówcy wyjaśnia, iż trudno jej pogodzić się z obowiązującą u nas miarą kariery, którą w pewnych kręgach zwykło się określać ilością występów na scenach zagranicznych.

„Śpiewałam w wielu krajach świata: w NRD, RFN, w Związku Radzieckim, w Czechosłowacji i Bułgarii, na Węgrzech i w Rumunii, we Włoszech i w Szwajcarii, w Austrii i w Stanach Zjednoczonych, a nawet w dalekiej Japonii (Tokio), gdzie miałam zaszczyt brać udział w pierwszym w tym kraju przedstawieniu „Halki" występując w partii tytułowej, ale największą wartością, moim największym osiągnięciem jest to, że śpiewam dla polskiej publiczności, dla mieszkańców Łodzi". Pani Teresa mówi bez cienia kokieterii: „Jestem szczęśliwa. Z tego właśnie powodu".

(EP)

WALDEMAR PODGÓRSKI

Twórczość Waldemara Podgórskiego jest doskonale znana miłośnikom kina w naszym kraju, tym bardziej w Łodzi, którą starał się sportretować w swych ostatnich realizacjach. Jest łodzianinem z wyboru, nie z urodzenia, pochodzi bowiem z pobliskich Pabianic, gdzie jego ojciec pracował jako snowacz, a matka jako tkaczka. I ten robotniczy rodowód zaważył w niemałym stopniu na wyborze drogi życiowej, chciał bowiem jako twórca wypowiedzieć ethos klasy robotniczej. Nie stało się to od razu.

Po ukończeniu w roku 1954 szkoły filmowej terminował Podgórski jako II reżyser u takich mistrzów kamery jak Stanisław Różewicz, Jan Rybkowski, Stanisław Lenartowicz, Aleksander Ścibor-Rylski. Dopiero wiele lat później odważył się podjąć realizację samodzielną. Był to sensacyjno-szpiegowski film fabularny pt. „Hasło „Korn". W tym gatunku uczył się Podgórski precyzji narracyjnej i zwięzłości, gdyż w ślad za dobrze przyjętym debiutem nakręcił pozycje kolejne „Na krawędzi" oraz „Południk zero". To ważne doświadczenie twórcze pozwoliło mu wydoskonalić warsztat, choć nie zbliżyło ani o krok do problematyki osobistej, najważniejszej. Odnosił sukcesy, a jednocześnie czuł, że błądzi, że sprzeniewierza się samemu sobie.

Wstrząsem, który zadecydował o kierunku dalszych poszukiwań było zetknięcie się z prozą Ryszarda Binkowskiego. Na kartach książek tego pisarza, notabene urodzonego na podpabianickiej wsi Podgórski odnalazł samego siebie. Było to mocne przeżycie. Podgórski bez wahania opuścił Warszawę przenosząc się do Łodzi, gdzie właśnie powstał zespół filmowy „Profil".

Na kanwie powieści Binkowskiego powstał pierwszy osobisty film Waldemara Podgórskiego „Pójdziesz ponad sadem", w którym przedstawił skomplikowaną drogę młodego chłopca z prowincji szukającego potwierdzenia swych ideałów w wielkim mieście nazwanym zresztą po imieniu. To Łódź, początku lat sześćdziesiątych, która stała się w filmie nie tylko tłem, ale jednym z bohaterów.

Problematyce tej pozostał Podgórski wierny. Dowodem tego kolejny film, który wkrótce wejdzie na ekrany. Jego tytuł „Wesela nie będzie" nawiązuje do książki Binkowskiego „Latoś wesel nie będzie". I tu pokazane są skomplikowane drogi awansu młodego człowieka niemal tożsamego z bohaterem „Pójdziesz ponad sadem". Podobieństwo to potwierdza wybór aktora: w obu obrazach główną postać odtwarza Krzysztof Stroiński, tak spopularyzowany ostatnio przez telewizyjny serial „Daleko od szosy".

Wszystko wskazuje na to, że zainteresowanie tematem łódzkim nie jest w życiu Podgórskiego tylko epizodem. Droga rozwojowa reżysera wskazuje, że jest to świadomy wybór. I już choćby dlatego reżyser Podgórski zasługuje na to, aby zostać honorowym łodzianinem roku 1977.

(KF)

ŁODZIANIE 1977

WŁODZIMIERZ SAAR

Po latach bez mała dwudziestu powrócił do rodzinnej Łodzi, aby już na powitanie zapisać się we wdzięcznej pamięci widzów zagranymi na scenie Teatru im. Jaracza doskonałymi rolami Moliera w sztuce Bułhakowa „Moliere, czyli zmowa świętoszków" i Verrata w „Wilkach" Rollanda.

Począwszy od roku 1972 Włodzimierza Saara oglądamy już w zespole Teatru Powszechnego, gdzie gra m.in Syrowarowa w „Zamieci" Leonowa, Antoniego w „Wielkim człowieku do małych interesów" Fredry, Krawczenkę w „Marii" Babla, Kucharza w „Mutter Courage" Brechta, Symeona w „Pożądaniu w cieniu wiązów" O'Neila, Szczepana w „Złodzieju" Myśliwskiego. W sezonach ostatnich — już za dyrekcji Romana Kłosowskiego — tworzy dwie role wręcz znakomite, które śmiało może policzyć do swoich najświetniejszych aktorskich osiągnięć: mocarnego, pełnego wiary we własne racje, porywającego zwłaszcza w oskarżycielskim wybuchu Szelę w „Turoniu" Żeromskiego i bezkompromisowego, a zarazem tak bardzo skomplikowanego psychologicznie Bołdyna w scenicznej adaptacji znanej powieści Putramenta.

Również wcześniejszy, nie znany łódzkim widzom dorobek aktorski Włodzimierza Saara bynajmniej nie jest mały, godziłoby się więc przynajmniej w skrócie go przypomnieć.

Zrobiwszy maturę w VIII PGiL przy ul. Nowotki (rzecz nie bez znaczenia, z tej bowiem szkoły — zainfekowana teatralną pasją jednej z polonistek — wyszła cała grupka przyszłych aktorów, że wspomnimy tu tylko Stanisława Mikulskiego), studiuje Włodzimierz Saar w łódzkiej PWST, a następnie trafia aż do Koszalina, gdzie staje się jednym z założycieli dramatycznego teatru, którego pierwszym kierownikiem artystycznym zostaje następnie Irena Górska-Damięcka.

Z Koszalina przenosi się do Poznania, gdzie — za dyrekcji Jana Perza — jako młody jeszcze człowiek gra role powierzane zazwyczaj aktorom w pełni dojrzałym, ba, posuniętym w latach: Cześnika w „Zemście" Fredry i Falstaffa w „Wesołych kumoszkach z Windsoru" Szekspira.

Po Poznaniu — krakowski Teatr im. Słowackiego, lata współpracy z takimi reżyserami jak Lidia Zamkow czy Bronisław Dąbrowski. I znów cała seria ról godnych odnotowania: Wielki Książę Konstanty w „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego, Chrypa w „Tragedii optymistycznej" Wiszniewskiego, Peachum w „Operze za trzy grosze" Brechta, Czepiec w „Weselu".

I jeżeli coś te — tak różne przecież — role łączy, to ich pełnokrwistość, chciałoby się powiedzieć mięsistość nawet, ze szczególnym bowiem powodzeniem grywa Włodzimierz Saar ludzi o dużej witalności, aktywnych, nieposkromionych, bujnych... Role opracowuje zazwyczaj długo, niekiedy — co sam przyznaje — na parę dni przed premierą nie jest jeszcze gotowy przynajmniej w sensie psychicznym, brakuje mu trudno uchwytnego „czegoś", właściwego tonu czy gestu. Potem, gdy już ów ton odnajdzie, postać zaczyna jednak żyć na scenie, nabiera autentycznych ludzkich wymiarów i głębi.

Tak, że trudno nawet powiedzieć czy Włodzimierz Saar swojego Bołdyna grał dobrze; być może on po prostu był Bołdynem przez tych kilka tajemniczych godzin, które składają się na teatralny spektakl.

(JP)

JERZY SAMUJŁŁO

Docent dr hab., architekt Jerzy Samujiło ukończył w 1957 r. studia na Politechnice Warszawskiej. Rozpoczynał pracę zawodową w łódzkich biurach projektów od 1962 r. pracuje na Politechnice Łódzkiej. Przed czterema laty przystąpił do formalnego organizowania nowego w łódzkiej uczelni kierunku studiów: architektury. Obecnie kieruje Instytutem Architektury i Urbanistyki PŁ, który w bieżącym roku akademickim ukończą pierwsi absolwenci.

W lakonicznych ramach fragmentu życiorysu mieszczą się lata wysiłków, starań ale przede wszystkim konsekwencji w realizowaniu ważnego dla Łodzi przedsięwzięcia: otwarcia studiów architektonicznych. Program modernizacji i rozbudowy Łodzi jest dziełem zbiorowym, choć przecież tworzą go i materializują ludzie. Ich fachowości, otwartości myślenia i umiejętności przewidywania zawdzięczamy liczące się w pejzażu miasta dokonania i śmiałe plany na przyszłość.

Jerzy Samujiło ma swój osobisty wkład do zbiorowego dzieła przemian miasta. Jako praktyk-projektant jest autorem rozbudowy zespołów dydaktycznych politechniki. Jako naukowiec ma w swoim dorobku liczne publikacje, opracowania teoretyczne i ekspertyzy dotyczące głównie kierunków przestrzennego rozwoju „infrastruktury materialnej" nauki w łódzkim ośrodku. Teoretyczne zagadnienia projektowania wyższych uczelni przyszłości stanowią główny przedmiot jego naukowych zainteresowań i zarazem powód, dla którego osiągnął wysoki, liczący się w skali kraju autorytet. Jako dydaktyk — opracował program kształcenia łódzkich studentów architektury, stale zresztą udoskonalany i korygowany przez realne potrzeby.

Nie chcę hierarchizować dokonań czy zasług cenionego wysoko w środowisku pracownika nauki i projektanta. Obiektywnymi wskaźnikami uznania jego dorobku i pozycji są m. in. 3-krotna nagroda Ministra Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Techniki, liczne nagrody i wyróżnienia w krajowych konkursach urbanistycznych i architektonicznych, kilka wydanych książek i wiele artykułów publikowanych w fachowych czasopismach. Odrębną sferę działalności docenta Samujiło stanowią funkcje członkowskie w zespołach konsultacyjnych przy MNSWiT, komitetach PAN-owskich i radach naukowych.

Wszystkie te dziedziny aktywnego udziału potwierdzają jedynie, iż Jerzy Samujiło należy do grona autentycznych twórców odnoszących swoją pracę do kategorii społecznej użyteczności i umiejących nadać reprezentowanej przez siebie dziedzinie odpowiednio szeroki, współczesny kontekst.

(AM)

LECH SOSNOWSKI

Któż z łodzian nie zna Spółdzielczego Domu Handlowego „Central", kto tam nie był, nie robił zakupów? Ale nie wszyscy zapewne wiedzą, że supersam „Centralu" zdobył w roku 1977 pierwsze miejsce w ogólnopolskim współzawodnictwie supersamów.

SDH „Central" ma na swoim koncie więcej takich, ogólnopolskich sukcesów. Przez trzy lata pod rząd załoga „Centralu" zdobywała puchar przechodni prezesa CZSS „Społem". Było to w latach: 1973, 1974, 1975. W ten sposób przechodni puchar stał się własnością załogi „Centralu". W 1975 roku SDH „Central" otrzymał handlowy znak jakości.

Zapewne łodzianie, odwiedzający tłumnie „Central" nie wiedzą również, że ten dom towarowy musiał zwrócić koszty budowy w ciągu 5 lat. A stało się to w ciągu dwu lat i dwu miesięcy, co też jest miarą pracy tej handlowej placówki.

Na jej czele stoi Lech Sosnowski — handlowiec z zamiłowania i uzdolnień. Jest on dobrym organizatorem umiejącym szybko i z handlowym wyczuciem nawiązywać kontakty, wyróżniający się inicjatywą i pomysłowością. Lech Sosnowski rozpoczął swoją karierę w Łasku. Był tam najpierw księgowym, później wiceprezesem łaskiego „Społem", a w końcu prezesem. Po przeniesieniu do Łodzi był prezesem oddziału PSS „Społem" na Widzewie. Zarówno w czasie pracy w Łasku, jak i na Widzewie w Łodzi kierowane przez niego oddziały „Społem" wyróżniały się wynikami swojej pracy. Ten fakt zwrócił uwagę władz spółdzielczych na Lecha Sosnowskiego. Zaproponowano mu kierownictwo „Centralu" w 1971 roku.

Z wielu handlowych inicjatyw „Centralu" warto wymienić kontakty z domami towarowymi NRD i Węgier. Dzięki temu łodzianie mają możliwość kupowania towarów pochodzących z tych krajów. W okresie wymiany handlowej w NRD i na Węgrzech sprzedaje się polskie towary

— Swój zawód — mówi Lech Sosnowski — trzeba kochać. Co by się nie robiło, trzeba robić z przekonaniem, że robi się to dla ludzi. A wtedy człowiek ma ze swojej pracy satysfakcję. Dla handlowca największą satysfakcją powinien być fakt, że klient wychodzi ze sklepu zadowolony. I wszyscy w „Centralu" staramy się, aby tak było. Czy zawsze nam się to udaje, to już mogą ocenić tylko nasi klienci.

Lech Sosnowski cieszy się uznaniem i sympatią załogi „Centralu", a wiele domów towarowych zazdrości załodze „Centralu" jej dyrektora.

(BM)

PAWEŁ UDOROWIECKI

Paweł Udorowiecki jest — mimo stosunkowo młodego wieku, jedną z najbardziej popularnych osobistości artystycznego życia Łodzi. Jako twórca znajduje się w szczególnej sytuacji, bo przecież kontakt z rezultatami jego pracy dokonuje się znacznie częściej, niż w przypadku innych dyscyplin: na ulicznym słupie ogłoszeniowym, w tramwaju lub na fasadzie wieżowców.

Z wykształcenia jest grafikiem, ukończył w 1969 r. z wyróżnieniem warszawską ASP. Od początku zajął się twórczością plakatową i w tej dyscyplinie należy do czołówki najbardziej cenionych i „utytułowanych" w Polsce artystów. Spośród długiej listy nagród i wyróżnień wystarczy przypomnieć otrzymane dwukrotnie (w 1970 i 1975) Nagrody im. Trepkowskiego przyznawane za najlepszy plakat polityczny, I nagrodę w międzynarodowym konkursie na plakat 1-majowy (1975 r.) czy szczególne wyróżnienie: list gratulacyjny za osiągnięcia twórcze w dziedzinie plakatu od I Sekretarza KC PZPR.

Paweł Udorowiecki ma w swoim dorobku kilkanaście znakomitych plakatów tzw. kulturalnych, zwłaszcza wykonywanych dla teatrów, m. in. Wielkiego w Łodzi a ostatnio Powszechnego. Ale najbardziej zajmuje go plakat społeczny i polityczny — może przede wszystkim dlatego, że stawia przed twórcą najwyższe wymagania. W tej dyscyplinie Udorowiecki wypracował indywidualny „styl" — polegający na stosowaniu najbardziej lapidarnych i zarazem bogatych w znaczenie symboli. Zwięzłość plastycznego języka bierze się u niego nie tylko z głębokiego przemyślenia tematu czy nieomylnego instynktu graficznego, lecz głównie ze zrozumienia kontekstu, w jakim plakat funkcjonuje i odgrywa samodzielną rolę. W myśl koncepcji, którą artysta konsekwentnie realizuje od początków zawodowej pracy związanej z Łodzią i łódzkim środowiskiem plakat pojmowany jako znak lub symbol określonych treści — stanowi samodzielny, rządzący się odrębnymi prawami element wizualnej propagandy; główny wyznacznik „informacyjnego obszaru" dostępnego najszerszemu widzowi. Udorowiecki jako kierownik artystyczny łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej przyczynił się w istotny sposób do zaktywizowania łódzkiego środowiska grafików i podniesienia ich twórczości na wysoki, ceniony w Polsce poziom. Jest również współautorem nowej metody ekspozycji plakatu — za pomocą zblokowanych „ciągów" — dzięki której ma on szansę jeszcze mocniej i skuteczniej oddziaływać, ale przede wszystkim liczyć się w pejzażu ulic i placów miasta — ceni najbardziej.

W działaniach plastycznych Paweł Udorowiecki nie ogranicza się do twórczości plakatowej. W 1976 i 1977 roku był głównym koordynatorem i projektantem plastycznej oprawy 1-majowego święta w Łodzi. Te właśnie prace — dla miasta i w skali miasta — ceni najbardziej.

(AM)

BARBARA WÓJCICKA

Barbara Wójcicka jest I sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego „Eskimo". Z przemysłem lekkim związana jest od dawna, bo już, od czasu ukończenia studiów ekonomicznych w 1957 roku. W „Eskimo" pracuje już od 15 lat, najpierw jako zastępca, a później kierownik działu organizacyjno-ekonomicznego. Sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR wybrana została w 1971 roku.

Jak sama mówi, była to dla niej trudna i ważąca decyzja. Z jednej strony bowiem praca w dziale ekonomicznym dawała jej wiele zawodowej satysfakcji. Z drugiej jednak strony zawsze pociągała ją działalność społeczna. Jeśli zwyciężyła pasja działacza, to nie bez znaczenia były tu jej poprzednie doświadczenia; te wyniesione z pracy w grupie studenckiej, czy — jeszcze wcześniej — ze szkoły średniej.

Zadecydowała jednak — jak mniemam — doskonała znajomość fabryki, jej problemów, ludzi i spraw. Barbara Wójcicka objęła funkcję sekretarza w trudnych dla fabryki chwilach. Zakłady im. F. Dzierżyńskiego — najstarsza łódzka fabryka — w 1979 roku obchodzić będzie jubileusz 150-lecia, należała do najbardziej zaniedbanych łódzkich fabryk. W najbliższych latach czekają ten zakład przenosiny do nowej, odtworzeniowej fabryki na Smulsku. Ale to w perspektywie. W 1971 roku, a więc w chwili objęcia przez Barbarę Wójcicką funkcji sekretarza KZ, trzeba było myśleć o działaniach doraźnych, natychmiastowych, polepszających warunki pracy załogi.

Barbara Wójcicka do bezsprzecznych sukcesów pracy partyjnej — zwłaszcza w ostatnich latach — zalicza te zmiany, jakie zaszły w warunkach i bezpieczeństwie pracy załogi „Eskimo".

A jest tych zmian sporo. Zakład przeprowadza częściową modernizację. Objęła ona tkalnię C — w niedługim czasie obejmie także tkalnię B — gdzie stare, zużyte krosna mechaniczne wymienia się na nowe automatyczne STB. Równolegle w przędzalniach średnioprzędnych wymienia się nowoczesne zgrzeblarki i automatyczne przewijarki. Najważniejszą jednak sprawą była aklimatyzacja tych starych, dusznych sal produkcyjnych. Urządzenia aklimatyzacyjne założone w prawie całej fabryce.

Modernizacja, a zwłaszcza wymiana starych maszyn na nowe, automatyczne, zrodziła w fabryce wiele nowych problemów. „Eskimo" niezależnie bowiem od sporej grupy młodych pracowników ma w większości starą długoletnią kadrę robotników. Dla wielu z nich modernizacyjne zmiany były istotnym problemem. Właśnie z tymi problemami przychodzili do Komitetu Zakładowego.

Barbara Wójcicka powiedziała mi, że właśnie w tych sytuacjach potwierdziło się zaufanie załogi do organizacji partyjnej, — dodam od siebie — i jej I sekretarza.

Nie brakuje i dzisiaj w fabryce problemów, kłopotów, z jakimi zgłaszają się do organizacji partyjnej robotnicy „Eskimo". Tam, gdzie to możliwe, organizacja partyjna ingeruje od razu, bez zwłoki. Na przykład, już w przyszłym roku powstanie w fabryce oddział pracy chronionej. Nietrudno się domyślić, czym będzie ten oddział dla wielu kobiet-robotnic. A przecież nie jest tajemnicą, że w „Eskimo" — tak jak i w innych zakładach przemysłu lekkiego — kobiety stanowią znaczny procent załogi.

Barbara Wójcicka zdobyła sobie w fabryce niekłamany autorytet, choć ona sama mówi tylko o zaufaniu, choć przecież trudno tu obie sprawy rozdzielać.

(MK)

Foto: W. Parys Foto: Archiwum

Wybrzeże w Salwadorze

Foto: Elżbieta Makowiecka

ANDRZEJ MAKOWIECKI

JĘZYK POLSKI W LAS PALMAS

1.

Po kilku dniach podróży, nocą, na horyzoncie pojawiła się łuna świateł. GAŁCZYŃSKI dopływa więc do jednej z Wysp Kanaryjskich: Gran Canaria. Las Palmas. Geograficznie rzecz biorąc jesteśmy już w Afryce, a politycznie — w Hiszpanii, do niej bowiem należy ten archipelag.

Stajemy na redzie.

O dziesiątej rano zejdziemy na ląd. Nim jednak opiszę szalbiercze kramy tej wyspy, wrócę jeszcze na chwilę do Brazylii, żeby zakończyć historię naszej włóczęgi. A zatem:

Sobota, 27 sierpnia. Popołudnie. Autobus towarzystwa komunikacyjnego EMPRESA DE ONIBUS NOSSA SENHORA DA PENHA S. A. wjeżdża na dworzec autobusowy w

SALVADORZE

mieście, które dawno temu było stolicą Brazylii.

Jesteśmy zdenerwowani. Przed wyjściem z dworca stoi szpaler policjantów, którzy legitymują i rewidują na wyrywki podróżnych. Nie mamy wprawdzie nic kompromitującego, dokumenty też w zasadzie w porządku — tym niemniej: co my tu robimy, w dalekobieżnym autobusie, skoro nasz statek jest w porcie, albo — jeszcze gorzej — stoi na redzie? Reda nie ma połączenia z lądem, więc skąd nas tu przywiało? Z łodzi podwodnej? Z desantu? Rzecz jasna — sprawa wyjaśniłaby się w końcu na naszą korzyść, ale czy aby we właściwej porze? Nie! Żadnych rewizji! Żona rusza pierwsza i wymija policjanta z tak zwanym czarującym uśmiechem, ja też odbijam w bok, ignorując pytające spojrzenie pana władzy.

Niebawem zaczyna się kolejna przeprawa. Sto metrów od dworca znajduje się kilkanaście przystanków dla autobusów komunikacji miejskiej. Nikt jednak nie chce nam powiedzieć, którym autobusem możemy dojechać do portu lub choćby w pobliże portu. Zagadywane osoby nie rozumieją lub udają, że nie rozumieją, o co nam chodzi. Nie znają niby słowa port, nie znają puerto, nie znają puerto maritimo, nie znają harbour, rzeczownik „barco" i przymiotnik „naval" też niewiele im mówi. Owszem, uśmiechają się, wdzięczą, wykonują rękami bliżej nieokreślone gesty, jednakże informacji brak. Przywodzi to na myśl owe znane z filmów i powieści sceny, kiedy tubylcy bawią się z przyjezdnym w kotka i myszkę, zwodząc go i oszukując z niewinną miną, podczas gdy w duchu są mu wrodzy.

Żona kipi z wściekłości. Podnosi głos. Uspokajam ją, choć sam ulegam podobnym uczuciom Przyklękamy i rysujemy palcem w brunatnym piachu sylwetki statków, powtarzając raz po raz: barco, puerto martimo. Stojący nie opodal policjant śledzi nas spod oka.

Nagle pojawia się wybawiciel: ów małomówny, stroniący od ludzi Indianin, który podróżował z nami autobusem.

Z wielkim wysiłkiem, potykając się na każdym słowie jak głuchoniemy, mówi po angielsku:

— Musicie wsiąść w ten zielony wóz.

Dziękujemy mu wylewnie. Ruszamy. Żona siedzi, ja stoję i rozglądam się na wszystkie strony. W reportażu nie wypada, ale gdybym pisał prozę, umiałbym chyba wygrać atut tej niepewności. Jest GAŁCZYŃSKI czy nie ma? A jeśli jest, to gdzie? Na redzie? W porcie? Przy którym nadbrzeżu?

Przyrzekam sobie, że skoro przygoda dobrze się skończy, pocałuję w rękę pierwszego polskiego marynarza, jakiego spotkam, nawet wówczas, jeśli będzie to brudne, oblepione smarami, włochate łapsko motorzysty. Myśl, że najbliższą noc prześpię w wygodnej koi, w swojej klimatyzowanej, komfortowej kabinie, wydaje się nieprawdopodobna.

Tak czy owak, rozglądam się na wszystkie strony. Widzę już morze, port, statki przytulone do kei. Żona pyta bez przerwy: no i co? Co? A ja wlepiam oczy w znajomy zarys statku: swojska burta — zielona do linii zanurzenia, stalowo-szara powyżej. Nie mam jeszcze pewności, ale migają mi niewyraźnie na dziobie trzy końcowe litery: ski. SKI.

Żona powtarza:

— No i co? Co?

— Cicho!

YŃSKI. CZYŃSKI. Jeszcze czekam. Jeszcze. Kilkanaście metrów i przeczytam wyraźnie: GAŁCZYŃSKI.

Wysiadamy. I drefimy przed pierwszą bramą portową. Nasz bagaż powiększył się. Jesteśmy uzbrojeni w aparaty. Strażnik mógłby się trochę zdziwić...

No, ale trzeba w końcu wejść. Biorę bagaż i puszczam żonę przodem z samą tylko torebką. Mija bramę i zostaje zatrzymana przez strażnika. Dokumenty. W porządku. Z odległości czterdziestu metrów obserwuję jak zbliża się do trapu. Szlag mnie trafia, gdyż przez burtę wychyla się tłum marynarzy i ich żon, wymachują rękami, krzyczą, witają Elżbietę owacyjnie, podczas gdy brazylijscy wachtmani przyglądają się temu z osłupieniem. Bo przecież nie widzą powodów do tego entuzjazmu!

Mijamy bramę. Również zostaję wylegitymowany.

— Co jest w tej torbie?

Boże — myślę. — Przecież nie przemycam narkotyków ani żadnego szmuglu. Ale wolałbym jednak nie pokazywać im dowodów mojej bytności w Kurytybie i Rio de Janeiro...

— Łachy, płaszcz — mówię.

— Tak gorąco i płaszcz?

— Na wszelki wypadek.

— Sprzedać pan chciał — uśmiecha się strażnik domyślnie.

I puszcza mnie. Puszcza! A na burcie jeszcze więcej ludzi. Sensacja. Pnę się po trapie, mijam osłupiałego wachtmana i mówię do swoich przez zaciśnięte zęby:

— Spokój, cholera jasna! Spokój!

W kabinie otwieram butelkę Ballantine's. Wypijam duszkiem szklankę, straight, bez lodu. Uspokajam się. Zaraz odwiedzi nas kilkanaście osób. Zaraz oddam co do grosza dług kapitanowi Petrusewiczowi (owe rezerwowe pięćdziesiąt dolarów) i złożę mu dokładne sprawozdanie. Zaraz przyjmiemy gratulacje od pierwszego mechanika i oficerów. Jest to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Nie cieszyłem się tak z żadnej książki, z żadnego reportażu, z żadnego udanego koncertu, kiedy byłem jeszcze muzykiem, z żadnego nagrania telewizyjnego i radiowego.

Stanęliśmy z Elżbietą na pokładzie i huknęliśmy na cały głos:

— Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma!

A marynarze wysłuchali tego z sympatią.

2.

Statek stał w Salvadorze cztery dni (odbiliśmy dopiero w poniedziałek o północy), mogłem więc obejrzeć dokładnie to piękne, stare, czarne miasto. Z uwagi na konieczność ostatecznego zakończenia moich korespondencji (to już jest ostatni reportaż) i chęć opisania szalbierczych kramów w Las Palmas, niewiele miejsca zostaje mi na Salvador. Ot, parę uwag w telegraficznym skrócie:

W Salvadorze jest 365 kościołów — na każdy dzień roku przypada inny kościół, i wszystkie są puste.

W Salvadorze jest Złota Katedra — widziałem ją i rzeczywiście: wszystko jest złote, albo pozłacane (bolą oczy).

W Salvadorze przed stadionem stoi brązowy pomnik Pelego — zdjęcie tego pomnika zamieściliśmy w mojej pierwszej korespondencji brazylijskiej pod tytułem: „Byłem stewardem".

W Salvadorze żyją przede wszystkim Murzyni — w większości bardzo biedni, w mniejszości bardzo bogaci. Domy i samochody tych ostatnich są szczytem przepychu.

W Salvadorze co drugi człowiek jest analfabetą, a co trzeci nie zna się na zegarku, to znaczy: potrafi odróżnić automatic od zwykłego chronometru (i chętnie go od ciebie kupi), ale nie potrafi odczytać godziny. Nie żartuję! W Salvadorze jest sławny murzyński balet Bahia, lecz nie udało nam się go zobaczyć ze względu na jakieś zagraniczne tournée.

W Salvadorze są dzielnice portowe i dzielnice rozrywki. Lepiej nie chodzić tam w pojedynkę.

W Salvadorze są piękne plaże, egzotyczne jarmarki, dużo stoisk i sklepików z ludowym rękodziełem. Zdjąłem swoją Sicurę i zamieniłem ją na rzeźbę. Później odwiedziłem holenderski statek Algoa Straat i kupiłem od chińskiego stewarda fałszowane Seiko.

Największe wrażenie wywarł na mnie w Salvadorze skłuty nożami człowiek. Zmierzchało, a on leżał w kałuży krwi i już chyba nie żył. Pochylało się nad nim trzech brazylijskich policjantów, ot, stali sobie, gaworzyli, popalali papierosy. Nasz milicjant byłby w takim wypadku dużo aktywniejszy — zaalarmowałby pogotowie i ekipę śledczą, ustaliłby najważniejsze fakt i — na rany boskie! — nie byłby taki obojętny, nie kopciłby tak tego papierosa. Zamordowany był być może rzezimieszkiem, może skłuły go szwadrony śmierci, ale w każdym razie — należała mu się ta odrobina szacunku, to symboliczne milczenie...

Kiedy w poniedziałek, o północy, GAŁCZYŃSKI udał się w drogę powrotną do kraju, byłem szczęśliwy, że przez najbliższe dni będę mógł sobie wreszcie trochę odpocząć — żadnego drałowania po mieście, żadnego zwiedzania, żadnych notatek, żadnych dodatkowych przygód i dramatów. Nasyciłem się piękną Brazylią.

3.

I oto jesteśmy na Wyspach Kanaryjskich, u zachodnich wybrzeży Afryki.

LAS PALMAS

Idziemy wzdłuż długiej, parokilometrowej kei do miasta. Po drodze mijamy monstrualny tankowiec, liberyjski MONROVIA, ćwierć miliona ton wyporności, i całą flotyllę japońskich statków rybackich, które, podobnie jak trawlery radzieckie i polskie, mają tu swoją bazę. Skośnookie, smagłe twarze Japończyków przypominają filmy o piratach — blizny, warkocze, przepaski we włosach, bajecznie kolorowe stroje; postawy nonszalanckie, miny okrutne; żują gumę, pykają z fajek plując bez żenady dookoła. Nigdy jeszcze nie widziałem tak egzotycznych rybaków.

Łapiemy taksówkę. Szofer z miejsca drąży sprawę po angielsku:

— Gdzie chcecie jechać?

— Do centrum, gdzieś w pobliże rynku.

— A skąd jesteście?

— Z Polski.

— To po co wam rynek. Ja was zawiozę do dzielnicy polskich sklepów.

Wyrażam zdziwienie: — Polskie sklepy w Las Palmas?

— No, pewnie. Kupicie tam dużo taniej niż na rynku.

Zatrzymuje się przed składem w eleganckim punkcie miasta.

— Wejdźcie tu — mówi. I odjeżdża.

Właściciel wabi nas ręką do środka. Jest tam wszystko — ciuchy, radia, zegarki. Słyszę polską mowę:

— Czego wam trzeba, kochani?

Patrzę facetowi w oczy — czarne. Włosy czarne. Cera też zdecydowanie czarniawa.

— Eeee, nie, szukamy owoców — mówię i wracamy na ulicę, żeby po chwili wejść do innego sklepu.

Osiemnastoletni ekspedient rusza nam naprzeciw. Tak jak i tamten — oczy i włosy czarne, cera ciemna, tylko zęby białe i zdrowe. Jestem kompletnie skołowany, bo nie powiedziałem jeszcze ani słowa, niczym nie zdradziłem swojej przynależności narodowej, mam na sobie marokański kostium tropikalny i brazylijskie sandały, a on podaje mi protekcjonalnie rękę i wali bez pudła długą, soczystą, polską frazę:

— No, czego ty potrzebujesz, kolega? Wszystko mam, skarpetki mam, buty mam, kalkulatorki u was Warszawa idą dobre, wełna moher idzie dobra, musisz, kolega, wziącz trosieczkę i kipicz sobie w domu malucha.

— Słuchaj — przerywam. — Jesteś Polakiem?

— Nie.

— Ale miałeś w rodzinie jakiegoś Polaka?

— Nie miałem Polaka.

— To gdzieś się tak nauczył po polsku?

— Tu sie nauczył po polsku. — I podsuwa mi kieszonkowy magnetofon. — Dla ciebie, kolega, dwa tysiące pesetas, wziącz, wziącz, kolega, dobra interes!

— Dam ci tysiąc siedemset sześćdziesiąt — mówię, chociaż nie mam ani grosza. Chcę go po prostu sprawdzić na okoliczność liczenia.

Okazuje się, że umie liczyć. Umie także żartować:

— Tysiąc siedemset sześćdziesiąt nie da rady, kolega, ale da rady dwa tysiące pięćdziesiąt.

W kilku innych sklepach to samo. Sprzedawczynie i sprzedawcy żonglują polszczyzną nie gorzej od naszych łódzkich ekspedientek. A jeśli na moment przestają swingować po polsku, to z miejsca zaczynają po rosyjsku — z równym humorem i swadą:

— Pażałsta, drogije druzja! Pażałsta! No, czewo ty choczesz, diewoczka? Kremplinu? U mienia kremplinu skolko ugodno. Biery, charoszaja kremplina, bez nikakich gwazdiej!

Żona radzieckiego rybaka bada w palcach jakość materiału, po czym pyta o cenę.

O ile dobrze pamiętam, ekspedient żądał czterysta pesetów (około pięciu dolarów) za metr.

— Nie nada, senor, nie nada — powiedziała z wyrzutem Rosjanka. I poszła z mężem do innego sklepu.

Polscy marynarze zrobili kiedyś w Las Palmas furorę. W czasie święta narodowego w parku odbywał się festyn — muzyczka, tańce. Trzech naszych (jednym z nich był marynarz pokładowy z GAŁCZYŃSKIEGO) wdarło się na estradę — Gruby chwycił akordeon, Chudy saksofon, ten z GAŁCZYŃSKIEGO siadł za bębnami — zagrali i zaśpiewali „Niech żyje Hiszpania!"

Lud wiedział, że byli Polakami i dał im brawo.

Wtedy saksofonista podniósł mikrofon i wrzasnął:

— Ale bez faszystów, senoras y senores!

Jeszcze większe brawa.

Było to za kadencji krwawego Frania. Dwóch łapsów wyciągnęło broń i ruszyło łapać naszych chłopaków, ludzie jednak udzielili im pomocy. Zagrodzili łapsom drogę, wzięli ich w kocioł i przytrzymali tak długo, aż naszym udało się zniknąć.

Gran Canaria, na której jest Las Palmas, a także Teneryfa, Fuerteventura i inne Wyspy Kanaryjskie były kiedyś piękne i egzotyczne. Posiadały swój specyficzny klimacik: nie chodzi o pogodę, która tutaj utrzymuje się przez okrągły rok tylko o względną ciszę i spokój starych uliczek, małe pensjonaty, tawerny, rybackie chaty w zatokach, piękne plaże, dobrych i uczciwych, nie wycwanionych jeszcze tuziemców.

Odkąd zaczęła się na Kanary światowa moda, wszystko to, albo prawie wszystko diabli wzięli. Miasta zaczęły się modernizować, rozrastać, piąć w górę; pełno standardowych wieżowców powstało, wypisz — wymaluj: bloki na Retkini, byle tylko pomieścić jak najwięcej turystów. Wzrosły ceny, ruszyła produkcja pamiątek i bohomazów, cwaniaków wielu ściągnęło z różnych stron świata, handel sklepowy opanowali Hindusi, z najbardziej uzdolnionej pod względem kupieckim kasty Marvari — oni to w mig rozeznali potrzeby rynkowe, wyuczyli się języka polskiego, rosyjskiego, po angielsku, hiszpańsku i francusku też niemal każdy wywija. Oszukują w sposób jawny i bezwzględny. Dla przykładu: elektroniczne zegarki stają po paru godzinach, datowniki chronometrów marki Seiko okazują się podrabianym w Hongkongu falsyfikatem bez jednego kamienia w środku, a ich datowniki obracają się w przeciwną stronę: z każdym dniem człowiek jest młodszy, choć ma więcej zmarszczek. Kobieta kupiła kilogram wełny moherowej w motkach — jak głosiła etykieta — pięciodekowych. Okazało się później, że każdy motek waży zaledwie trzy deka i że nie jest to wcale wełna tylko jakieś syntetyczne świństwo.

Znam ludzi, których jedynym marzeniem życia jest wycieczka na Kanary. Wierzcie mi — szkoda waszych pieniędzy i złudzeń. Nikt nie potrafi mi wmówić, że Las Palmas jest piękniejsze od jakiegokolwiek miasta na Wybrzeżu adrjatyckim. Drogo was będzie kosztował ten snobizm.

Tylko pod jednym względem Kanary zachowały status Wysp wolnocłowych. Alkohol! Jest dobry i tani jak barszcz albo nawet jeszcze tańszy: za pięciolitrowy galon wina stołowego (ale musisz mieć ten galon, szkło jest drogie) płacisz dolar dwadzieścia, no... nie w sklepie, oczywiście, tylko w rozlewni. Ciężkie, słodkie, aperitifowe wino typu porto i muskatel kosztuje czterdzieści centów za litr. Znane u nas skądinąd koniaki: Soberano, Byass, Veterano, Fundador czy Terry (określany przez ludzi morza jako „Śmierć marynarza") możesz kupić po pięćdziesiąt — sześćdziesiąt centów za litr. Kupuje się również, pół na pół, piorunujące mieszanki wina wytrawnego lub słodkiego z koniakiem. Krótko mówiąc — nic dziwnego, że Kanary stały się rajem dla Niemców, Szwedów i Finów, którzy są urodzonymi i zaprzysięgłymi pijakami, a w swoich krajach muszą płacić za butelkę byle jakiego alkoholu dziesięć — piętnaście dolarów.

4.

Jestem w kraju. Dopóki piszę — moja podróż ciągle jeszcze trwa — myślę o niej, śnię, studiuję mapy, przeglądam notatki i zdjęcia. Wszystko jednak ma swój kres. Pora postawić ostatnią kropkę. Pora wrócić na nasze polskie podwórko.

Kończąc, żywię nadzieję, iż moje korespondencje powiedziały Państwu coś nowego o Brazylii i Argentynie, o panujących tam obyczajach, o stosunkach społecznych i nastrojach politycznych, o Polonii wreszcie. Przyznam się bez fałszywego wstydu, że nie mam kompleksów wobec innych korespondentów wielu polskich gazet i tygodników, wyjeżdżających w odległe rejony świata i nadsyłających stamtąd raporty. Nie upraszczałem sobie pracy, nie żałowałem nóg, nie ściągałem z gazet, folderów i książek, nie ograniczałem się do wywiadów z osobistościami, wychodząc z założenia, iż taki wywiad można z powodzeniem przeprowadzić przez telefon. Nie wszystkim, być może, podobało się moje pisanie, ale — proszę mi wierzyć — krążąc po drogach i bezdrożach Ameryki myślałem o Was!

(Koniec)

U PRZYJACIÓŁ

Na VI Zjeździe Pisarzy Radzieckich podjęto decyzje o wymianie dotychczasowych legitymacji członkowskich ZP ZSRR. Akcja ta, już poważnie zaawansowana, wybiega oczywiście daleko poza ramy formalno-organizacyjne. W czasie szczerych koleżeńskich rozmów z poszczególnymi członkami związku dokonuje się wnikliwej analizy istniejących jeszcze niedomogów w działalności ogniw związku, a jednocześnie sposobów ich przezwyciężenia.

Na temat tej kampanii oraz o znaczeniu jakie dla pisarza radzieckiego ma przynależność do związku, wypowiada się Jurij Wierczenko, jeden z sekretarzy Zarządu Głównego ZP ZSRR.

— Z pełnym prawem możemy mówić o poczuciu dumy — mówi znany pisarz i działacz związkowy — która jest udziałem każdego z 8 tys. członków związku, współtworzących współczesną literaturę w 76 językach Kraju Rad. To poczucie dumy rodzi się i z samej historii Związku Pisarzy. Utworzony w 1934 r. związek od pierwszych swych poczynań stał się niezawodnym sojusznikiem partii w walce o umocnienie rewolucyjnych ideałów. Dziś ze szczególną wyrazistością widać ogrom drogi, jaką przeszła literatura radziecka. Troska o czystość linii ideowej, obywatelski charakter literatury, wysoki poziom rzemiosła artystycznego, poszanowanie i serdeczne podejście do inteligencji twórczej — to wszystko fakty charakteryzujące stosunek Komitetu Centralnego KPZR. Pisarze radzieccy doskonale wiedzą, że w każdej sprawie, we wszystkich swych poczynaniach mogą liczyć na wszechstronną pomoc i poparcie partii. Wystarczy powiedzieć, że w żadnym innym kraju świata nie ma drugiej takiej organizacji pisarskiej, która by rozporządzała tak poważną bazą materialną, miała tak wielkie możliwości w zakresie realizacji twórczych zamierzeń pisarzy, w urzeczywistnieniu szerokiej więzi literatury z wielomilionową rzeszą czytelników.

Skala i formy twórczego i organizacyjnego działania Związku Pisarzy ZSRR są tak ważkie i różnorodne, że bez aktywnego udziału w tej pracy każdego twórcy nie sposób jest mówić o efektywnym rozwiązywaniu stojących przed związkiem zadań. Wielka, bo zamierzona na dwa lata akcja wymiany legitymacji członkowskich, nie jest i nie może być czczym, formalnym zabiegiem. Jest ona fundamentalnym przeglądem naszych osiągnięć i zamierzeń. Ma na celu określenie dalszej aktywizacji pisarzy w społeczno-politycznym życiu związku, w życiu całego narodu.

Legitymacja członkowska Związku Pisarzy ZSRR — stwierdza Jurij Wierczenko — to mandat, świadczący o przynależności twórcy do zwartej rodziny zwolenników tej samej idei, aktywnych bojowników o zbudowanie nowej, komunistycznej społeczności. Legitymację tę, z wizerunkiem Lenina, może nosić tylko ten, kto talent swój poświęcił bez reszty służbie narodu.

* * *

W 1978 roku przypada 150 rocznica urodzin Lwa Tołstoja. W związku z tym w planach Państwowego Komitetu Wydawniczego przewidziano specjalne wielotomowe i wielonakładowe edycje dzieł tego wielkiego pisarza.

Twórczość Tołstoja cieszyła się zawsze ogromną popularnością w kraju i poza granicami. Do 1916 roku ogólny nakład jego książek w Rosji i innych krajach wyniósł ok. 10 milionów egz. W latach władzy radzieckiej edycja dzieł tołstojowskich znacznie wzrosła. Do roku 1977 dzieła Tołstoja były wydawane ok. 2,5 tys. razy w 97 jezykach i w nakładzie ponad 192 milionów egz. Najwieksze nakłady osiagnely „Wojna i pokój" (13,5 mln), „Anna Karenina" (8,7) i „Zmartwychwstanie" (6,3).

Rok 1977 przyniósł 65 edycji dzieł Tołstoja. W 1978 r. ukaże się 19 edycji w nakładzie 16 mln egz. Będą to nie tylko powieści, ale także opublikowane zostaną pisma Tołstoja o tematyce społeczno-literackiej, przedstawiające jego poglądy z dziedziny socjologii i estetyki.

* * *

W 1977 roku Walentin Rasputin otrzymał Nagrodę Państwową ZSRR za powieść „Żyj i pamiętaj". Krytyka już wcześniej podkreślała jego mistrzowskie umiejetności przenikania najgłębszych zakamarków ludzkiej duszy, które w tej powieści znalazły swój najpełniejszy wyraz. Książka zdobyła sobie wielkie uznanie radzieckich czytelników i przełożona została na wiele jezyków, w tym również na polski.

40-letni obecnie Rasputin urodził sie i wychował na Syberii, nad brzegami Angary. Ukończył Uniwersytet Irkucki i przez kilka lat pracował jako dziennikarz. Jego twórczość charakteryzuje głebokie penetrowanie współczesności, bezkompromisowość szczerość i prostota środków artystycznych. Nie łagodzi przedstawianych konfliktów, nie upiększa ludzi i wydarzeń. „Literatura jest wyrazem moralności narodu — twierdzi — jej powołaniem jest kształtowanie dobroci życzliwości dla innych, miłości dla ojczystej ziemi".

MIĘDZY STAGNACJĄ A „HANDLOWĄ WOJNĄ"

Stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Europejską Wspólnotą Gospodarczą układają się coraz gorzej. Obie strony oskarżają się wzajemnie o nasilanie protekcjonizmu. Zachodni Europejczycy są niezadowoleni, że Stany Zjednoczone grożą ograniczeniem importu stali w momencie gdy zachodnioeuropejski przemysł stalowniczy przeżywa poważne trudności.

Leo Tindemans, przewodniczący rady ministrów Ekonomicznej Wspólnoty Gospodarczej (także premier rządu belgijskiego — red.) na spotkaniu z dziennikarzami oskarżył Stany Zjednoczone, iż walcząc o interesy swoich monopoli nie przebierają w środkach, włącznie z manipulacjami na rynkach walutowych. Tindemans powiedział między innymi: „Jestem przekonany iż walutowy zamęt jest jedną z głównych przyczyn obecnego kryzysu ekonomicznego. Wahania kursu dolara w stosunku do innych walut wywołują szereg komplikacji w handlu międzynarodowym, które już jutro mogą doprowadzić do wojny handlowej. I jeśli się mówi w Zachodniej Europie o protekcjonizmie, to po części i dlatego żeby bronić się przed niskim kursem dolara. Niemal wszystkie rządy w Zachodniej Europie pragną walutowej stabilności, nawet twardej stabilności, ale dziś można o tym tylko marzyć. Jeśli dolar nie zostanie ustabilizowany, to w Zachodniej Europie wynikną ogromne trudności, i nie tylko w sferze walutowej". Istotnie, bowiem zarówno przed Zachodnią Europą, jak przed USA stoją dziś także trudne do rozwiązania problemy energetyczne.

Szczególnie ostra walka o zdobycie korzystnych pozycji toczy się między USA, Japonią i krajami Wspólnego Rynku, a przede wszystkim RFN. Ekonomiczne sprzeczności między tymi trzema centralnymi ośrodkami świata kapitalistycznego są tak głębokie, że nawet w oficjalnych kołach mówi się otwarcie o nieuchronności wybuchu długotrwałej wojny handlowej. Jak wynika z enuncjacji prasy zachodniej, rządy kapitalistyczne wprowadzają — pod naciskiem monopoli — wysokie bariery taryfowe, ograniczenia na import zagranicznej produkcji, ograniczenia walutowe i uruchamiają różne finansowe mechanizmy. Te wszystkie manewry odbywają się w sytuacji najpoważniejszego, na przestrzeni ostatnich lat, ekonomicznego kryzysu jaki przeżywa dziś Zachód. A na horyzoncie rysują się już perspektywy nowego spadku produkcji.

W Zachodniej Europie sytuacja ekonomiczna kształtuje się bardzo różnie. Anglia i Włochy mają lepsze wskaźniki ekonomiczne niż w poprzednich kwartałach tego roku. Wielka Brytania, która kąpie się w nafcie wydobywanej z szelfu Morza Północnego, zmniejszyła swój deficyt handlowy, zwiększyła rezerwy walutowe i zahamowała tempo inflacji, chociaż wciąż jeszcze utrzymuje się ona na poziomie 17 procent. Także Włochy poprawiły nieco swoją sytuację ekonomiczną. Jednakże w większości krajów Zachodniej Europy panuje stagnacja. Wydatki konsumpcyjne nie rosną, zmniejsza się użytkowanie mocy produkcyjnych, inwestycji praktycznie brak, powiększa się bezrobocie. We Francji wynosi ono prawie 5 procent. Ale największym problemem Zachodniej Europy i jednocześnie najbardziej zdumiewającym są rozpoczynające się wahania w ekonomice Republiki Federalnej Niemiec. W Bonn zapowiadano, iż produkcja, z poprawką na inflację, wzrośnie w tym roku o 5 procent. W rzeczywistości wzrost ten nie osiągnie nawet 4 procent. Bezrobocie które ongiś było tak znikome, iż Zachodnie Niemcy musiały importować miliony zagranicznych robotników, teraz zbliża się do 5 procent i rośnie nadal. Ponieważ, praktycznie rzecz biorąc, nie można także oczekiwać wzrostu inwestycji, perspektywy z każdym miesiącem stają się coraz bardziej mroczne.

Sytuacja w Japonii, ogólnie rzecz biorąc, jest także nader skomplikowana.

Spadek tempa wzrostu w poszczególnych krajach Zachodu zaczyna się odbijać na wskaźnikach handlu światowego. Ale międzynarodowych bankierów niepokoi nie malejące tempo produkcji, lecz podział jej produktów. Japonia i RFN, zaniepokojone inflacją, popierają swoją produkcję pracującą na eksport, żeby zabezpieczyć wzrost. W konsekwencji w obu tych krajach powstały ogromne aktywne salda bilansu handlowego, kosztem partnerów handlowych. Jednocześnie handlowy deficyt Stanów Zjednoczonych w tym roku osiągnął imponującą sumę 30 miliardów dolarów i, jak prognozują ekonomiści, do końca tego roku zwiększy się o dalszych 10 miliardów dolarów.

Bankierzy i ministrowie finansów w krajach Zachodniej Europy wyrażają obawy, że ten kolosalny deficyt może w końcu doprowadzić do krachu dolara i do finansowego chaosu w całym świecie kapitalistycznym. Dlatego też partnerzy-konkurenci, pod naciskiem rosnącej tendencji ochrony swoich wewnętrznych rynków przed falą zagranicznej produkcji, omijając lub po prostu negując przeróżne wielostronne porozumienia, uciekają się do protekcjonizmu.

W związku z deficytem handlowym USA, kwestie polityki antyimportowej znalazły się ostatnio w centrum uwagi ekonomicznych komentatorów prasy amerykańskiej. US News and World Report podkreśla na przykład, iż rosnące dążenie do wznoszenia barier handlowych na granicach narodowych zwiększyło zaniepokojenie wiodących biznesmanów zarówno w USA, jak i w Zachodniej Europie. Coraz częściej mówi się o możliwości wybuchu wojen handlowych. Odradzanie się ekonomicznego nacjonalizmu niemal w całym świecie zachodnim uważa się za główny czynnik kryzysu zaufania, który poraził wiele sojuszów handlowych na kontynencie. Amerykańscy biznesmani mówią poważnie o rosnącej tendencji do „obrony własnych interesów", która zagraża mechanizmowi handlowemu w systemie kapitalistycznym. Te obawy rządów burżuazyjnych potwierdziły badania koniunktury handlowej, które przeprowadziła ostatnio Europejska Rada Zarządzających z siedzibą w Genewie. Po zanalizowaniu ankiet rozesłanych do wyższych urzędników w 25 krajach Zachodu, w tym także do urzędników w USA, Rada stwierdziła, iż co drugi ankietowany za największe niebezpieczeństwo dla systemu uważa protekcjonizm.

Europejska Wspólnota Gospodarcza, pod naciskiem Francji i Wielkiej Brytanii, skłonna jest wprowadzić bariery protekcjonistyczne, żeby uchronić zachodni przemysł — przeżywający obecnie głęboką depresję — przed ciosami, które zadaje mu konkurencja ze strony Japonii i krajów Trzeciego Świata, z ich najbardziej niskimi kosztami produkcji. Takie decyzje podjęły już Stany Zjednoczone, gwałtownie redukując import obuwia, odzieży, kolorowych telewizorów, tekstyliów i stali z Japonii, Południowej Korei, Tajwanu i Hongkongu.

Komisja EWG w Brukseli i rządy narodowe sprzeciwiały się wszelkim próbom nacisku ze strony zwolenników wprowadzenia środków ochronnych przed niepożądanym importem. Jednakże niedawne decyzje Wspólnego Rynku w sprawie ograniczenia importu tekstyliów z niektórych krajów rozwijających się, uważają eksperci za punkt zwrotny. Ponieważ wspomniane decyzje dotyczą istotnej części objętości handlu wielu krajów, jest oczywiste iż tendencja brukselskiej komisji EWG idzie po linii rzeczników osłaniania interesów własnej siły roboczej, o czym świadczą zresztą oświadczenia oficjalnych przedstawicieli handlowych krajów Zachodu w Genewie. Zdaniem jednego z wyższych urzędników Wspólnego Rynku „tamy już runęły".

Część zachodnich ekonomistów uważa, że dzisiejszy protekcjonizm, (w odróżnieniu od protekcjonizmu lat 30) jest skierowany przede wszystkim przeciwko Japonii i najbardziej aktywnym konkurentom z krajów Trzeciego Świata. Inni ekonomiści, głównie brytyjscy, wyrażają pogląd, iż handlowe problemy będą nabierać coraz większej wagi i narodowe interesy wezmą górę nad interesami Wspólnego Rynku. Taki aspekt protekcjonizmu najbardziej niepokoi burżuazyjnych polityków i ekonomistów. Z kolei przedstawiciele amerykańskiego biznesu przestrzegają, iż chroniczne bezrobocie może doprowadzić do konfliktów handlowych między przemysłowo rozwiniętymi krajami i w konsekwencji może się nagle okazać, iż wiele kompanii wyparto zarówno ze starych, jak i z nowych rynków zbytu.

Najwięcej gromów sypie się na Japonię uważaną za głównego sprawcę obecnych wstrząsów ekonomicznych na światowym rynku kapitalistycznym. Najogólniej rzecz ujmując chodzi o to, iż w ostatnich latach japońskie monopole rozpoczęły ofensywę na wszystkich kapitalistycznych rynkach. Ich główni konkurenci w USA i Zachodniej Europie odczuli ten nacisk szczególnie boleśnie i zażądali od swych rządów zastosowania środków, które by skutecznie zahamowały handlową ekspansję Japończyków.

JERZY CZECH

IMIGRACYJNE PLANY RPA I RODEZJI

Pinochet nosi się z zamiarem wysłania do Namibii chilijskiego korpusu ekspedycyjnego. Wprawdzie dotąd nie zawarto jeszcze takiej transakcji oficjalnie, niemniej junta nie zdementowała informacji, które w związku z tym ukazały się w prasie, można więc przypuszczać, iż między faszystowskim reżimem Pinocheta i reżimami rasistowskimi zawarto w tej sprawie coś w rodzaju tajnego porozumienia.

Tymczasem w sytuacji narastającego ruchu narodowo-wyzwoleńczego na południu Afryki, rasistowskie reżimy w Pretorii i Salisbury poważnie rozważają kwestię przesiedlenia białych mieszkańców RPA i Rodezji do innych krajów, a przede wszystkim do Ameryki Południowej. Sprawie tej nadano oficjalny charakter. W marcu ub. roku dyrektor departamentu pracy w ministerstwie spraw wewnętrznych Argentyny, Juan Boutell, towarzyszył delegacji południowoafrykańskich przemysłowców pochodzenia europejskiego, odbywających podróż po północnych prowincjach Argentyny. Celem tej podróży było „zbadanie możliwości" przesiedlenia na te tereny białych imigrantów z Południowej Afryki, zgodnie z programem — zaaprobowanym przez „narodową komisję demograficzną — przyciągnięcia do tego kraju wykwalifikowanej siły roboczej z różnych rejonów świata". Powiedział o tym oficjalnie przewodniczący tej komisji, minister spraw wewnętrznych Argentyny, gen. Albano Harguindeguy.

Niemniej jednoznaczna jest oficjalna informacja, która wyszła ze stolicy Kostaryki, San Jose, gdzie z inicjatywy RFN odbywała się konferencja, na której podano do wiadomości, że Bonn udziela pożyczki w wysokości 150 milionów dolarów na zorganizowanie akcji przesiedleńczej do Argentyny, Urugwaju, Brazylii i Boliwii 30 tysięcy białych Południowoafrykanów i członków ich rodzin, wychodźców z Rodezji, Namibii i RPA. Projekt ten popierają także Holandia i Anglia, zaniepokojone wzrostem aktywności afrykańskich ruchów narodowo-wyzwoleńczych. RFN jest zaniepokojona przyszłością Niemców osiedlonych w Namibii, Anglia — obawą, iż w wypadku zwycięstwa czarnej większości rodezyjscy uchodźcy powrócą do Anglii, a Holandia — losem Burów (tj. Holendrów) zamieszkałych w RPA. Rząd Boliwii pierwszy życzliwie powitał tę inicjatywę oferując 150-tysiącom przesiedleńców — równiny na południowym wschodzie kraju, a także tereny w rejonie rzeki Beni. Gen. Hugo Banzer, sam Niemiec z pochodzenia, może sobie pogratulować udanej transkacji: zachodnioniemieckiej pożyczki, wykwalifikowanych specjalistów i techniki rolniczej, którą przywiozą z sobą wychodźcy.

Dziś ludność Boliwii stanowi, mniej więcej 50 proc. Indian, około 25—35 proc. Metysów i 10—15 proc. białych, którzy trzymają w swych rękach całą władzę. Między Boliwią i krajami, z których przyjmuje ona imigrantów istnieje także zbieżność w strukturze gospodarczo-politycznej. Boliwijcy biali, podobnie jak ich południowoafrykańscy „rasistowscy bracia", mają w pogardzie Metysów. Ale przyszli imigranci, wraz z ich rasistowskim obciążeniem, będą z pewnością jednakowo z wysoką patrzeć na wszystkich Boliwijczyków.

(ST)

SZUKASZ SZCZĘŚCIA...

Jaki zawód cieszy się największym społecznym prestiżem i najwyższą rangą?

Na to pytanie szukał odpowiedzi socjolog David Treiman. Przeprowadził w tej kwestii sondaż w Australii, Argentynie, Stanach Zjednoczonych i różnych krajach Europy Zachodniej. Wyniki tych sondaży opublikował w znanym z ogromnego nakładu londyńskim tygodniku „The Sunday Times". Na 100 możliwych 78 punktów uzyskali profesorowie akademii medycznych. Na drugim miejscu adwokaci — 71, dentyści — 70, nauczyciele — 64, weterynarze — 61, kapłani — 60, dziennikarze 55, pielęgniarki — 54, modelki — 36 punktów.

Ta drabina idoli nie uwzględnia.

Nie znaleziono na niej miejsca dla bożyszczy. Dla piosenkarzy. Elvis Presley z niej wypadł. Tak jak wypadł w ogóle z grona żyjących. Elvis Presley połknął 10 różnych pigułek w ciągu jednej minuty. Przyjął „Antihistaminę", „Kodeinę", „Demeral", kilka „pigułek szczęścia" i środków uspokajających z grupy „Valium". Ta dawka okazała się za silna. Mieszanka zadziałała zabójczo. Serce piosenkarza nie wytrzymało. Wielki „rockstar" odszedł. Mit po nim pozostał.

Pozostał też problem.

I to problem szczególny. Pełen niepokojącej ironii.

Czy szczęście można kupić? Czy leży na aptecznych półkach? Czy w ogóle pieniądz załatwia wszystko? Szukasz szczęścia — wstąp na chwilę. Tak reklamowano przed wojną Państwową Loterię. Szukasz szczęścia — kup w drogerii paczuszkę tabletek „Tricyclic". To obecnie bardzo w świecie rozpowszechnione pigułki. Robią karierę. W Anglii wydaje się je tylko z przepisu lekarza. Widocznie poprzeczka zbyt wysoka nie jest, skoro tylko w tym roku wydano blisko 9 milionów na te tabletki.

„Tricyclics" — pigułki szczęścia.

Usuwają ponoć depresję. Działają rozluźniająco. Zupełnie jakby kto w ciągu minuty zmienił czarne okulary na różowe. Ironia w tym jest. Właściwie jest w tym wszystkim spory ładunek ludzkiej też tragedii. Bo „pigułki szczęścia", które mają załamanych i przygnębionych uczynić szczęśliwymi, używane są coraz częściej do celów samobójczych. To jest ten fenomen, który zdumiewa socjologów i zniechęca psychiatrów. Nie od dziś wiemy, że każdy lek jest większą lub mniejszą trucizną. W „tricyclicach" tej trucizny jest o wiele wiele więcej niż w klasycznych do niedawna lekach uspokajających.

Gdzie szczęścia nie ma — kunszt nie pomoże.

Otóż właśnie. Pierwszy pacjent dokonał samobójstwa przy użyciu „pigułek szczęścia" w 1965 roku. Dziś to już lawina. W Wielkiej Brytanii udowodniono, że co dziesiąte w tym kraju samobójstwo popełniane jest przy użyciu pigułek, które miały ludzi uszczęśliwić. Psychiatrzy są w rozterce. Opadają im ręce. Chcieliby wyleczyć, a wychodzi, że wpędzają nieszczęsnych do grobu. Mówi się już przecież o samobójczej epidemii. Mówi się, że tamy są potrzebne.

Ale jakie?

Przeważa obecnie wśród angielskich lekarzy opinia, że błąd jest zasadniczy. Polega na traktowaniu ludzkiego nieszczęścia jako choroby. Jak ktoś czuje się nie tak jak powinien, to znaczy, że popadł w groźną i chroniczną depresję, pogrążył się we frustracji. Modne to słowa — depresja, frustracja. Sądzono, że to taka sama choroba jak tyfus, czy zapalenie oskrzeli. Przepisze się odpowiednią pigułkę, da kilka dożylnych zastrzyków i po zmartwieniu. Ząb wyrwany, ból ustał. Tymczasem leki uspokajające, a już szczególnie „pigułki szczęścia" okazały się bronią obosieczną. Dziś już wiadomo, że częściej zabijają niż leczą.

Filozofia pigułek okazała się zgubna i prowadząca do nikąd.

Bo szczęścia nie kupi się ani przy pomocy alkoholu, ani przy pomocy opium czy „tricyclicó w". Za proste by to było, żeby mogło być prawdziwe.

Nie ma szczęścia bez zgryzot. A już z całą pewnością lepsze szczęście niż pieniądze. Presley miał dolarów całe worki. Jednak szukał szczęścia, jak kiedyś Merylin Monroe, w tabletkach. Więc co jest szczęściem? Nietsche pisał: „Szczęściem jest kobieta". Bardzo możliwe, że tym krótkim zdaniem wielki filozof trafił w samo sedno.

(JB)

JERZY WILMAŃSKI

ŁODZKA SZOPKA KULTURALNA

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski

DZIADEK PRZYMROZEK:

Słuchajcie ludzie moje kochane
jaka się szopka otwiera
Dziadka Przymrozka najpierw bajanie
czyli po prostu — referat:

W wiosce nad Łódką szumiały bory
rybak zarzucał węcierze
Lud tu żył dobry — do pracy skory
tyrał i klepał pacierze

Było to dawno w dziejów zakrętach
gdy tylko puszcza tu rosła
I każdy wiedział — stary czy pętak
że Łódź maleńką jest wioską

Aż król Jagiełło kiedyś przypadkiem
przybył tu raz na inspekcję
Zwołał łodziaków, wstawił im gadkę
— po dzisiejszemu — prelekcję

Ja wam — powiada — dam zezwolenie
mężczyznom oraz niewiastom
Jeśli jesteście nie bici w ciemię
to zbudujecie se miasto

Tak się zaczęła historia cała
za sprawą Władka z centrali
Potem z Krakowa przyszła uchwała
I miasto tu zbudowali

Ale to miasto — Boże się pożal
jakby go wcale nie było
Wystarczył jeden niewielki pożar
i wszystko wnet się fajczyło

Więc znów minęło lat setek parę
Bez żadnych wizyt z centrali
Aż Rembieliński z panem Staszicem
do Łodzi znów przyjechali.

Spojrzeli na tę nędzę okrutną
Na te drewniane chałupy
Zrobiło im się ogromnie smutno
że miasto takie do kitu

Więc Rembieliński siada i pisze
by Staszic mógł referować
Tak w łódzkich borach, wśród nocnej ciszy
kultura jęła kiełkować.

A potem baza i nadbudowa
wyrosły na łódzkiej glebie
dziś też podwładni piszą przemowy
gdy są Staszice w potrzebie

Teraz po krótkim kursie historii
nastąpi wymowna kropka
i zaczynamy współczesne story
czyli otwiera się szopka.

BOHDAN WODICZKO:

Teatr mój ogromny widzę
Ja — mistrz w operowej lidze.
Do warszawskiej bramki strzelam
Waldorff zdanie me podziela.
Recenzenci wnet się zjadą
gdy Wodiczko w surmy zadął
Repertuar mam bez pudła
— oczywiście gdy się uda.
Ale mnie się uda wszystko
Mistrz Wodiczko — to nazwisko
Energicznie chwytam stery
Łódź dostanie o p e e r y.

GRZEGORZ KRÓLIKIEWICZ:

Zbrodnia to niesłychana
Dziwka zabiła pana
Zabiła scyzorykiem
a potem popiła mlikiem

Patrz, wrogu i przyjacielu
Faust się utopił w kisielu
Pijane krzyczą panienki
słychać stękanie i jęki

Kawalec jest nieprzytomny
— a ja swój film widzę ogromny
Goethe przeklina z zaświatów
— dam ja mu do wiwatu
I tylko radosny jak dzieciak
jest mój ulubiony Trzeciak.

JAN PAKUŁA:

Co się stało — nie odstanie
Co dzień gram na swym o r g a n i e
Pełen jadu i słodyczy
wznoszę „Głos" mój „Robotniczy"
Czasem chwalę, czasem sarkam;
Tulkę mam i mam Kotlarka
Organ słuszny mam i śliczny
Nakład już przestałem liczyć
Bo o rannych już godzinach
„Głosu" w kioskach nigdzie nima.

DZIADEK PRZYMROZEK:

Trzeba uciekać co sił w pepegach
dwóch terrorystów tutaj nadbiega

FRANCISZEK TRZECIAK:

Czy z siekierą czy też z nożem
jam na wozie — nie pod wozem
Tu uduszę, tam zastrzelę
w czwartek „Kobra", film w niedzielę.
Nie ma w tym nijakiej blagi
Królikiewicz nie jest nagi.

DZIADEK PRZYMROZEK:

Lecz oto już nadchodzi postać całkiem inna
Pryncypialna postawa, niezawodna linia...
Niosąc plik referatów szybko ku nam bieży
Inżynier ludzkiej duszy, prezes Wawrzak Jerzy

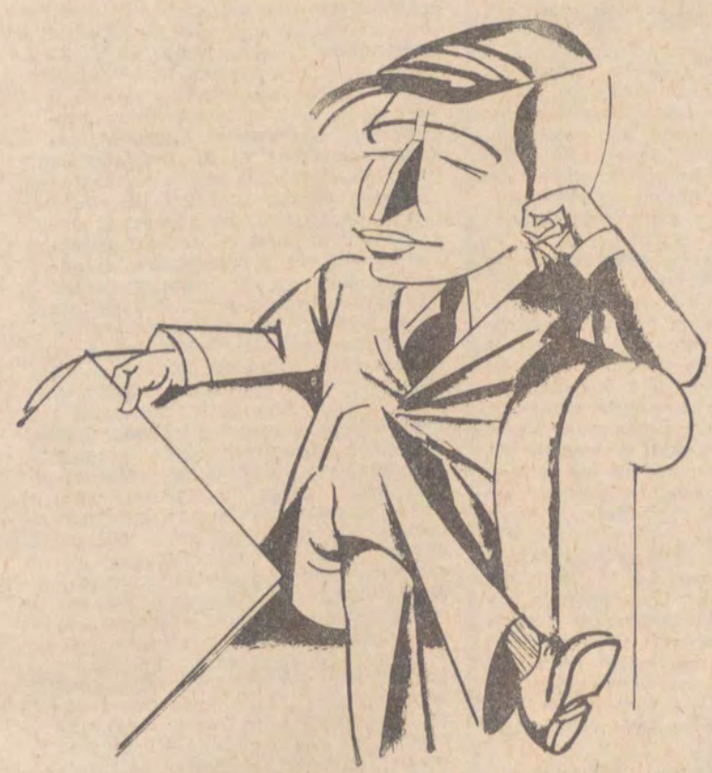

JERZY WAWRZAK:

Ja nie jestem artysta czy też inny wariat
Wejście mam odpowiednie — przez sam sekretariat.
Żadnych kontestacji nie chcę dłużej słyszeć
Pojadę do domu i sztukę napiszę.
Współczesną pełną pozytywnej troski...
A o publiczność niech już się martwi Kłosowski.

ROMAN KŁOSOWSKI:

U mnie Szwejk i Ryszard Trzeci
i Pinokio jest dla dzieci
A gdy będą pustki w kasie
Duet Framerów też przyda się

FRAMEROWIE:

Lipiec, sierpień, wrzesień — nas po Polsce niesie wciąż
Widz na sali siada, Zbyszku już krawacik wiąż
Dni są coraz krótsze — trasy za to dłuższe, ranki we mgle
Posiwiały klezmer melodyjkę rżnie
Refren:
Złote polskie niesie, jesień przebogata
w rytmie starych hitów po koncertach lata
Złote polskie niesie — jesień dobra taka
Koncert cię nie zmęczy, tak jak w środek lata
Złote polskie niesie — chociaż brak waluty
Złote polskie niesie — grudzień, styczeń, luty
Złote polskie niesie — Poznań czy Włocławek
Jesień nam przyniosła sławę.

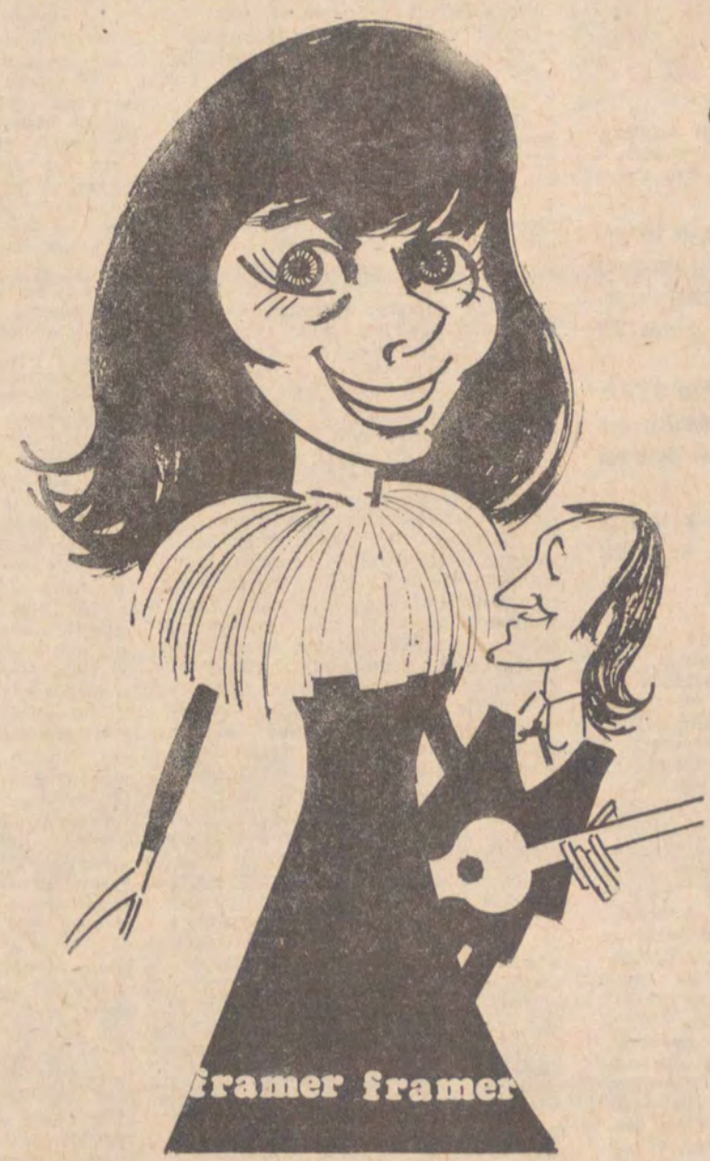

PISARZ:

Pisarz też ma życie klawe
oraz zapewnioną sławę
Wydawnictwo Łódzkie prosi
żeby teksty mu przynosić
i zaliczki płaci chętnie
— pisarzowi serce mięknie.
Wizja piękna, mój ty Boże
trza ją między bajki włożyć.

HENRYK DEBICH:

A publiczność wciąż nie dość ma uciech u estrady
i woli festiwale — nie ma na to rady
a w Debicha wpatrzone panny i matrony
mdleją gdy się schylam po ten kwiat czerwony
(śpiewa)
Uwielbiam festiwale
Estradę kocham ja
I nie ukrywam wcale
że to jest słabość ma
Najmilszy sercu przebój
alt, tenor, werbel, bas,
I zazdrość mych kolegów, i zazdrość mych kolegów
uderza mnie jak głaz

HENRYK CZYŻ:

A kysz, a kysz — a Henryk Czyż?
Wszak popularność zdobyłem tyż!
Diabeł dla mnie nie straszny — co to jest u licha
czyżbym miał się przestraszyć Henryka Debicha?
(śpiewa)
Panem mas
tylko z nas
ten zostanie
kto obecną w telewizji ma twarz
Powiedz więc,
czy masz chęć
na spotkanie
na ekranie w telewizji ze mną wraz

WOJCIECH DRYGAS:

Co tam telewizja, to ulotna sztuka
popularności lepiej w „Karuzeli" szukać
Wojciecha Drygasa znają poniektórzy
lecz za to „Karuzelę" zna mały i duży
Zna rencistka z Pajęczna i docent z Warszawy
Pani Zosia z Ełku i pan Kupść z Nieszawy
„Karuzela" wiruje w wesołym miasteczku
krytykuje i bawi, ale po troszeczku.
Ma pasy bezpieczeństwa, ma asekurację
— lektura dietetyczna, pod jarską kolację.
Dobra w święta państwowe, dobra na niedzielę
i dlatego wszyscy lubią „Karuzelę".

DZIADEK PRZYMROZEK:

I w ten sposób — kochani — skończyliśmy szopkę
Zatem Dziadek Przymrozek stawia wreszcie kropkę.
Figury pójdą drzemać, widz też zaśnie smacznie
w Nowy Rok, nowa szopka od nowa się zacznie.

ANDRZEJ BLAJER

TERROR CZY TERRORYZM?

„Przemoc, jak włócznia Achillesa, może leczyć rany, które zadała".
— Jean Paul Sartre

Lotnisko Lod pod Tel Awiwem, 30 maja 1972 r.: Grupa terrorystów japońskich należących do Rengo Sekigun (Zjednoczonej Armii Czerwonej) otwiera ogień do grupy pasażerów znajdujących się w hallu portu lotniczego. W wyniku tej akcji ginie 27 ludzi, w większości Portorykańczyków.

Monachium, stolica XX Igrzysk Olimpijskich, 5 września 1972. Członkowie organizacji „Czarny Wrzesień" dokonują ataku na kwaterę izraelskich sportowców. Jedenastu spośród nich ponosi śmierć.

Maalot, w zachodniej Galilei: komandosi palestyńscy wysadzają w powietrze autobus przewożący dzieci izraelskie, wskutek czego ginie grupa 50 dzieci w wieku od 2 do 8 lat.

Sao Paulo, lipiec 1970. W odwet za zabójstwo inspektora policji brazylijskiej „Szwadrony Śmierci" wprowadzają zasadę 10-krotnego odwetu, mordując 10 więźniów skazanych za napady z bronią w ręku.

Cordoba, Argentyna, 28 luty 1975: Uprowadzony przedstawiciel ambasady amerykańskiej, John P. Egan, zostaje zastrzelony przez partyzantów Monteneros, gdy nie spełniono ich ultimatum zwolnienia w zamian z więzienia aresztowanych członków ugrupowania.

Nowy Jork, styczeń 1972 r. — z wydawnictwa Podziemnego Czarnego Frontu Wyzwoleńczego „Right On!": „20 grudnia jeden z naszych braci obrobił supermarket Key Food. Właśnie zabierał, co mu się należało, gdy jakaś świnia (policjant) o nazwisku Carson Terry przyszła i wmieszała się w sprawę ludu. Nasz brat zgarnął 800 dolarów. Świnia pogoniła brata na korytarz, gdzie brat odwrócił się i celnym kiem słusznie ją zakatrupił. Jest to zwycięstwo Czarnych, a także ludów Trzeciego Świata, ponieważ Terry służył jako sierżant w Wietnamie".

RFN, wrzesień — październik 1977: Uprowadzenie przewodniczącego zachodnioniemieckiego Związku Pracodawców, Hannsa Martina Schleyera przez terrorystów spod znaku RAF (Frakcja Armii Czerwonej) i następnie porwanie przez inną grupę, solidaryzującą się z RAF, samolotu „Lufthansy" „Landshut", którego pasażerowie i załoga, z wyjątkiem zamordowanego pilota, zostali uwolnieni siłą na lotnisku w Mogadiszu przez oddział specjalny Bundesgrenzschutzu. Samobójstwo członków grupy Baader-Meinhof w więzieniu Stammheim. Wreszcie zamordowanie uprowadzonego Schleyera.

* * *

To tylko kilka mniej lub bardziej spektakularnych przykładów akcji terrorystycznych (których żniwo w okresie ostatniej dekady pochłonęło już ponad 10 tysięcy istnień ludzkich) na pewno jednak reprezentatywnych dla owego, obecnie tak przecież poważnego i groźnego, fenomenu współczesnego świata, jakim jest terroryzm.

A zatem, co to za zjawisko? Czy można je zdefiniować w sposób jednoznaczny? Jaki jest jego cel, struktura, formy działania? Kim wreszcie są ludzie podejmujący akcje terrorystyczne i jakie skutki przynosi ich działalność?

Odpowiedzi na niektóre z tych pytań nasuwają się same, nawet bez wnikliwej analizy problemu, wystarczy tylko zwrócić uwagę na wymienione wyżej przykłady, aby zorientować się, że terroryzm nie jest zjawiskiem jednorodnym, tak w zakresie sytuacji w jakich się przejawia, rozmiarów, jakie przybiera czy środków, którymi się posługuje. Można nawet spotkać się z poglądem, że terroryzm jako zjawisko w ogóle nie występuje, natomiast istnieją tylko terroryzmy kwalifikowane, jak: terroryzm polityczny lewicy i prawicy, państwowy, a także terroryzm pseudopolityczny, posługujący się ideologią polityczną dla zamaskowania pospolitej działalności przestępczej.

Wynika to z prostego faktu, że terroryzm jako zagadnienie nie mieści się w granicach obowiązującej terminologii nauk społecznych i politycznych. W rezultacie każda, nawet najprostsza kategoryzacja zjawiska prowadziła raczej do zaciemnienia istoty problemu aniżeli jego wyjaśnienia. Nieodzowną stała się zatem konieczność indywidualnego klasyfikowania każdego przejawu działalności terrorystycznej m.in. dlatego, by uniknąć w odniesieniu do nich apriorycznego wartościowania, zarówno in plus jak i in minus.

Jednym z bardziej ewidentnych przykładów płynności terminologicznej jest pojęcie terroru i terroryzmu. Pozornie mogłoby się wydawać, że mamy do czynienia z synonimami. Czy rzeczywiście? Na przykład dla Friedricha Hackera, znanego amerykańsko-austriackiego psychologa, teror jest zastosowaniem instrumentu panowania i zastraszania ze strony dysponujących władzą lub siłą polityczną, zaś terroryzm — wzorcem i praktyką metod zadawania gwałtu ze strony bezsilnych, ogarniętych zwątpieniem, poniżanych, którzy uważają, że w żaden inny sposób nie zmienią swej sytuacji jak tylko przez świadome i konsekwentne stosowanie przemocy wobec grup ucisku. (F. Hacker: „Terror-Mythos, Realität, Analyse", 1973). Z kolei rozpatrując problem w kategoriach stricte politycznych, terror traktowany bywa niekiedy jako zakwestionowanie państwowego monopolu przemocy, przy czym wyróżnikiem jest w tym wypadku państwo, bądź system, jaki podlega kwestionowaniu i w zależności od klasowej istoty jednego lub drugiego oraz charakteru władzy możemy mówić o terroryzmie lewicy, bądź prawicy. W tak sformułowanym poglądzie znów brak jest jednak wyraźnej różnicy między terrorem a terroryzmem. Ktoś mógłby zapytać, czy naprawdę konieczne jest przywiązywanie aż takiej wagi do precyzji terminologicznej tych dwóch pojęć, skoro i tak wiadomo, że zagadnienie sprowadza się do stosowania bezwzględnej przemocy, a czy nazwiemy to terrorem czy terroryzmem, to przecież w gruncie rzeczy jest nieistotne. Otóż jest istotne. Problem jest bowiem daleko poważniejszy, niż się na pozór wydaje. I dlatego warto poświęcić mu nieco więcej uwagi.

Terror i terroryzm, choć wykazują wyraźne pokrewieństwo w swej zależności od propagandy, ideologii i opinii publicznej, w swym bezwzględnym, brutalnym i uprzedmiotowionym działaniu środkami przemocy, a przede wszystkim spektakularnym akcentowaniu całkowitej obojętności wobec życia ludzkiego, nie są bynajmniej synonimami.

Samo słowo terror oznacza rządy mające na celu zastraszenie społeczeństwa ze strony sprawujących władzę, rządy, które służą utrzymaniu tej władzy, zarazem jednak oznacza także pojedyncze lub zorganizowane formy działań zastraszających ze strony „słabych", lub jeszcze nie na tyle silnych, aby mogli otwarcie wystąpić przeciwko owym „mocnym" (sprawującym władzę). W pojęciu terroru nie mieści się m.in. walka partyzancka. Znamienne jest na przykład, że wiele południowoamerykańskich ugrupowań partyzanckich walczących przecież o narodowe i społeczne wyzwolenie swych krajów, uciekało się w swej działalności do metod terrorystycznych (porwania samolotów, dyplomatów, przedstawicieli władz, świata przemysłu i byznesu, wysadzanie obiektów rządowych, użyteczności publicznej itp.), nie mniej podkreślały one każdorazowo, że są to środki ostateczne, do sięgnięcia po które zostali zmuszeni wobec niemożności zrealizowania swych celów na drodze legalnej, metodami demokratycznej walki mas. W takim przypadku trudno jest stawiać znak równości między akcjami Monteneros, Tupamaros, partyzantami Marighelli czy Lamarci a terrorystami spod znaku „Kobry" (Symbionistycznej Armii Wyzwolenia — SLA), wspomnianego już Podziemnego Czarnego Frontu Wyzwoleńczego, czy RAF — grupy Baader-Meinhof. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z wyraźnie zarysowanym celem politycznym, którym jest walka zbrojna — traktowana jako środek kształtowania rewolucyjnej świadomości mas, w drugim natomiast, pod płaszczykiem ideologii wyzwolenia społecznego, ukryte są zwykłe motywy kryminalne (jak chęć zemsty, perspektywa łatwej zdobyczy itp). Ale i tu kategoryzacja terroryzmu nie jest sprawą łatwą, natychmiastową i jednoznaczną. W innych natomiast kategoriach trzeba na przykład oceniać grabież w supermarkecie czy morderstwo popełnione na Sharon Tate przez bandę Mansona, w innych natomiast zamach Palestyńczyków na autobus z dziećmi, bowiem choć jedni i drudzy z dumą określają swój czyn, jako zwycięstwo rewolucji, to w drugim przypadku mamy niewątpliwie do czynienia z przykładem działalności politycznej, który wynika przy tym nie tyle z instynktu zabijania, co z konkretnej sytuacji politycznej. Inna to już sprawa, że takie akcje, bez względu na motywacje ideowe, wywołują i muszą wywoływać odrazę oraz powszechne potępienie nie tylko w stosunku do samych wykonawców, jednocześnie bowiem dyskredytują w oczach szerokiej opinii publicznej cel, jaki tym akcjom został przypisany.

Podsumowując wyrażone powyżej spostrzeżenia, można stwierdzić, iż akty terrorystyczne są demonstracjami możliwości i gotowości do działań o charakterze zastraszającym. Przestępcy seksualni, mordercy, porywacze samolotów, kidnaperzy, szantażyści itp. również szerzą poczucie strachu i zagrożenia swoimi akcjami — jednakże dopiero wówczas, gdy zastraszanie nie jest tylko rezultatem akcji lecz zamiarem i celem samym w sobie — mamy do czynienia z „prawdziwym" terrorem. Terroryzm również likwiduje swoje ofiary w sposób bezwzględny i bez skrupułów, nie pozwala się ograniczyć w swej skali i zasięgu działania, nie powstrzymuje się przed unicestwianiem dóbr i wartości materialnych oraz życia ludzkiego, tak swych ofiar jak i samych terrorystów. A przecież stosowanie brutalnej i często odrażającej przemocy jest dla terroryzmu tylko środkiem do celu, nie zaś samym celem, środkiem poprzez który wytwarzana jest atmosfera strachu i zagrożenia. Rzecz polega na tym, że destrukcja bez skrupułów ma oddziaływać alarmująco, spełniać niejako funkcję plakatową, aby dzięki temu pozyskać sojuszników, sprowokować przeciwnika, ostrzec i wytworzyć poczucie niepewności, braku stabilizacji w całej grupie społecznej, przeciwko której działanie terrorystyczne zostało skierowane. Interes terroryzmu wymaga bowiem, aby „niezłomna żywotność" terrorystów, determinacja i siła napędowa ich poczynań były wciąż wystawiane na próbę jako dowód, że przez gotowość poniesienia śmierci w sprawie, o którą walczą, jest ona słuszna, by z kolei dzięki temu osiągnąć głęboki i szeroki w zasięgu oddziaływania wpływ na opinię społeczną.

Widać zatem wyraźnie, iż czynnik zastraszenia nie jest główną funkcją terroru czy terroryzmu. W jednym i drugim, a szczególnie drugim przypadku, sens działań terrorystów sprowadza się do wywoływania reakcji w psychologicznej, emocjonalnej sferze świadomości tych, przeciwko którym akcja była wymierzona, do uzmysłowienia im z całą ostrością, rzeczywistej istoty konfliktu o rozwiązanie którego prowadzą walkę. I na tym właśnie polega zasadniczy cel terroryzmu.

Nie jest dziełem przypadku, że powyższe rozważania odnoszące się do problemu terroru i terroryzmu prowadzone są ściśle w kontekście wątków politycznych (motywacji i celów działań, ich konotacji pozytywnych i negatywnych, oceny skuteczności metod terrorystycznych itd.). Zarówno bowiem podłoże zjawiska, jego mechanizm, funkcje, cel, jak i sytuacje (istniejąca i wytworzona) noszą niewątpliwie charakter polityczny. Niemniej byłoby dużym uproszczeniem pominięcie przy tej okazji innego ważnego wątku, wątku kulturowego. Dlaczego? Trzeba przecież dostrzegać w syndromach terroru i terroryzmu cechy reprezentatywne dla różnych form aktywności społecznej, różnych kręgów kulturowych i cywilizacyjnych oraz analizować je zarówno w aspekcie socjologicznym bądź psychologicznym jak i w kategoriach moralnych, etycznych i prawnych stanowiących etos określonej kultury. Inne bowiem będą kwalifikacje tego samego czynu terrorystów dokonywane przez przedstawicieli cywilizacji europejskiej, inne zaś w ocenie Latynosów, Azjatów czy społeczności orientalnych. I tak oto dotykamy problemu najistotniejszego, a zarazem najbardziej kontrowersyjnego, tj. oceny zjawiska, jego celowości oraz skuteczności w zakresie oddziaływania zarówno na społeczeństwa jak i na jednostki.

Skłonności do terroryzmu (pojmowanego jako działanie zmierzające do stosowania przemocy wobec innych członków społeczności) mają swoje stałe miejsce w repertuarze ludzkiej agresji, bowiem gdyby ich nie było, akcje terrorystyczne nie wywierałyby tak zastraszającego a zarazem prowokującego wpływu na opinię społeczną, jak to ma miejsce obecnie i nie byłyby tak wielorako skuteczne (przy czym jest to raczej skuteczność o charakterze doraźnym).

Terror, podobnie jak i agresja, został powszechnie potępiony, jednak w odniesieniu do terroryzmu panuje pewna dychotomia: raz traktowany jest jako słuszny i usprawiedliwiony, drugi raz — jako z gruntu zły, a wszystko w zależności od tego, kto i w jakim celu się nim posługuje oraz na jakim podłożu oparte są kryteria oceny tego zjawiska. Na przykład nam, wychowanym w kulturze europejskiej, gdzie życie ludzkie stanowi wartość najwyższą, trudno jest się pogodzić z zabijaniem nikomu niewinnych ludzi nawet w imię uzasadnionych celów politycznych. A zresztą nie tylko nam, bo choć istnieją kultury, w których życie człowieka nie jest wartością nadrzędną, to wiadomo także, że nie udało się doprowadzić do powszechnej akceptacji terroru jako samoobrony lub spełniania obowiązków w świętej sprawie. To prawda, ale przecież posługiwanie się terrorem jako instrumentem kreowania określonej polityki pozostaje nadal zasadniczym elementem zarówno techniki sprawowania władzy (południowoamerykańskie reżimy dyktatorskie), jak i rewolucyjnej taktyki (latynoskie, palestyńskie i azjatyckie ruchy partyzanckie), co do którego oświadcza się, że musi istnieć, bowiem nie ma innych alternatyw.

W ostatnich latach można zaobserwować podejmowanie systematycznych badań nad fenomenem terroru tak jeśli chodzi o jego źródła, formy manifestacji, jak i wywołane przezeń skutki. Jest to działanie bardzo potrzebne, nieomal konieczne, jako że bez analizy podłoża i istoty zjawiska nie może być praktycznie mowy o ocenianiu go jako takiego. Stronnicze rozważania tego zagadnienia czynią bowiem terror stroną, z którą w jednym wypadku sympatyzujemy i wykazujemy wobec jej poczynań zrozumienie, co prowadzi w następstwie do aprobaty tego fenomenu podczas gdy z kolei terror stosowany przez drugą stronę będzie wywoływał u nas reakcję przeciwną, będziemy domagali się jego wytępienia jako uosobienia totalnego zła:

Z drugiej strony próba całkowicie apolitycznej, bezstronnej fenomenologizacji terroru musi prowadzić do cynicznego odrzucania terroru, bądź do makiawelskiej gotowości sojuszu z nim. Wówczas, gdy w ocenie zjawiska wartością dominującą i jedynie rozważaną jest — bezspornie oczywista a faktycznie wciąż zmieniająca się w swym natężeniu i skali zasięgu — siła oddziaływania terroru, nie ma zazwyczaj innego wyboru jak pogodzić się z rzeczywistością ukształtowaną przez terror lub przyjąć zasadę: lepszy terrorysta niż terroryzujący (posiadający władzę polityczną) — i z nim się zjednoczyć. Samo tylko oburzenie pozostawia uczucie bezsilności, która przez terror i strach wywołany dostarcza zarazem najlepszej dlań pożywki. A zatem czy odpowiedzią na terror powinien być kontrterror (terroryzm) i czy może być wobec tego skuteczny?

Z punktu widzenia ogólnospołecznych zasad etycznych i moralnych terroryzm jako stosowanie przemocy jest i musi być odrzucany, natomiast jego ocena w sferze politycznej, kulturowej jest z kolei uzależniona od rozstrzygnięcia kwestii: czemu służy, jak służy i czy jest konieczny. W tym przypadku problem powinien być rozważany dwupłaszczyznowo. Terroryzm spełnia niewątpliwie pozytywną rolę i jest jedną z najskuteczniejszych metod działania, jeśli będzie traktowany jako czynnik mobilizujący opinię publiczną, jako generator napięć społecznych, które w dalszej perspektywie przyczynią się do zwycięstwa postępowych idei wyzwolenia społecznego czy narodowego. Przemoc rewolucyjna, na co już wskazywał Lenin („Dzieła", t. 29, s. 41), jest historycznie uzasadniona jedynie wówczas kiedy dokonuje się przy istnieniu niezbędnych przesłanek, a z perspektywy całego dotychczasowego biegu rozwoju historycznego jest niezbędna i pożyteczna, czyli wówczas, „kiedy istnieje nie tylko determinacja mas (właśnie mas, a nie pojedynczych osób!) i gotowość wejścia do walki, ale istnieją określone obiektywne warunki, aby wola mas mogła się zmaterializować w zwycięstwie". Natomiast warunki te są każdorazowo uzależnione od specyfiki kraju, sytuacji politycznej, klasowego układu sił, momentu dziejowego — toteż nie można ich określać apriorycznie.

Terroryzm międzynarodowy, z jakim mamy obecnie do czynienia, różni się (co raczej dla nikogo nie ulega wątpliwości) dość radykalnie od rewolucyjnego ruchu mas ludowych, którego dążeniem jest spowodowanie fundamentalnych przeobrażeń w społeczeństwie i który jedynie sam jest zdolny tego dokonać. Akt terrorystyczny może tylko, jak już zostało wspomniane, osiągnąć cele ograniczone: zwrócić uwagę społeczeństwa na konkretną sytuację polityczną, doprowadzić do uwolnienia grupy więźniów politycznych, uzyskać fundusze finansowe na swą działalność itp. Sugestia, iż terroryzm to przedszkole walki rewolucyjnej, katalizator, który przyspieszy dojrzewanie mas do rewolucji społecznej, jest raczej o tyle ryzykowna, co pozbawiona słuszności, jako że społeczeństwa bez względu na zróżnicowania klasowe nie są w stanie zaakceptować praktyk działania terrorystów, zabijania z pełnym wyrachowaniem ludzi, najczęściej zupełnie niewinnych i przedstawiania następnie tego faktu jako wielkiego zwycięstwa sprawy rewolucji. Na tym tle jest więc raczej wątpliwy pogląd, że przemoc rozwija męstwo ludów uciśnionych i zarazem prowadzi, jak chce Sartre, do wolności i jedności. Właśnie odwrotnie, brutalny gwałt i nieuzasadniona przemoc powodują, że terroryzm jest zupełnie nieskuteczny jako element rzeczywistej walki rewolucyjnej (podkreślam r z e c z y w i s t e j, bo częstokroć jest w ogóle niemożliwe ustalenie czytelnej granicy między autentycznym programem akcji wyzwoleńczej a mitologią, wymyśloną przez terrorystów na użytek zamaskowania swego przestępczego procederu). W takim przypadku terroryzm staje się prędzej czy później obciążeniem dla danego ruchu, gdyż kompromituje programowe cele i dążenia w oczach tych, którzy mają stanowić jego siłę napędową i bazę społeczną (wymowny przykład pod tym względem reprezentuje miniona i obecna działalność fedajinów palestyńskich).

A sami terroryści? Kim są, z jakich warstw i klas się rekrutują? Co kieruje ich poczynaniami? W niniejszym artykule celowo została pominięta problematyka specyfiki najbardziej reprezentatywnych ugrupowań terrorystycznych, ich motywacji i form działania jak też rodzajów terroru i metod jego zwalczania, gdyż z uwagi na swą złożoność i dyskusyjność ocen zagadnienie to wymaga odrębnego omówienia. Niemniej można bez ryzyka wypowiedzieć pogląd, że zjawiska terroru i terroryzmu stanowią formę kryzysu społecznego przejawiającego się w postaci krwawej fali zbrodni i przestępczości, który jest zarazem pochodną światowego kryzysu wartości i instytucji w epoce gwałtownych przemian. Skuteczność walki z gwałtem i przemocą jest zatem w dużej mierze uzależniona od poznania istoty i przyczyn powstawania tych zjawisk, jak również od wyeliminowania źródeł napięć społecznych oraz wstrząsów miotających światem.

Foto: Archiwum

LEON MAJEWSKI

WSPOMNIENIA DRUKARZA

W piątek rano hordy hitlerowskie wkroczyły do Łodzi. Byłem tak zdruzgotany i zrozpaczony, że do niedzieli nie wyszedłem na ulicę, żeby nie patrzeć na zbrodniarzy. Dopiero w niedzielę poszedłem na Bałucki Rynek, gdzie ukazał się moim oczom koszmarny widok — kilku ludzi wisiało na szubienicach, nie zdjęto ich przez kilka dni, aby nakarmić strachem Polaków. Na placu Wolności zwalony i potłuczony pomnik Tadeusza Kościuszki. Patrzyłem z obrzydzeniem, jak hitlerowscy żołnierze, rozbawieni, fotografowali swoich kolegów opartych butami o statuę naczelnika Kościuszki. Idę dalej. Na ul. Zielonej pali się synagoga. Przyjechała straż ogniowa, ale faszyści nie pozwalają gasić pożaru. Wiceprezydent miasta Łodzi, tow. Rapalski, w wydanej przez siebie książce pt. „Byłem w piekle", pisze: „...gdy przechodziłem obok palącej się synagogi, spotkałem znajomego Żyda. Na zapytanie, co o tym sądzi, odpowiedział: „Jeżeli jest Bóg, to ich ukarze, a jeżeli Boga nie ma, to i to jest niepotrzebne".

Po tych makabrycznych wrażeniach chodziłem jak struty. Ojczyzna w niewoli, a ja jestem bezradny. Zdawałem jednak sobie sprawę z tego, że nie mogę chodzić bezczynnie z założonymi rękami. Muszę nawiązać kontakt z jakąkolwiek organizacją, która nie pogodziła się z klęską narodową i podjęła walkę z faszystowskim najeźdźcą. Tylko jak taką organizację znaleźć? Pewnego październikowego popołudnia idę ulicą. Ktoś z tyłu łapie mnie za rękaw. To Potarzycki, dawny peowiak, który w szkole średniej forsował moją kandydaturę na przewodniczącego Koła Rodzicielskiego. Uradowany ze spotkania, oznajmił, że zaciągnął się do Polskiej Organizacji Bojowej POB. Na drugi dzień składałem przysięgę w mieszkaniu Potarzyckiego przy ul. Kaplicznej na Chojnach, przed oficerem o pseudonimie „Czarniecki". Tak więc zostałem członkiem Polskiej Organizacji Bojowej, komendantem której był Henryk Bartoszewicz, pseudonim „Bolek", „Janota".

Przyjaźniłem się z rodziną Aniołkiewiczów — było ich dwóch braci: Jan i Mieczysław oraz siostra Maryla. Gdy dowiedzieli się o POB, prosili, aby skontaktować ich z organizacją, bo chcą się także zaciągnąć. Od tej pory w mieszkaniu ich przy ul. Kopernika 19 zbierał się sztab z „Janotą" na czele. Brałem udział w tych odprawach.

W tydzień po wkroczeniu hitlerowców do Łodzi, pojechałem do Łowicza, aby tam, na wszelki wypadek, zameldować się. Zatrzymałem się u przyjaciół Marii i Wacława Riedlów, którzy powitali mnie z otwartymi ramionami, bowiem urodził im się syn i pragnęli, abym podawał go do chrztu. Dziś ten chrześniak, Andrzej Riedel, jest majorem w wojsku polskim. Zaszedłem do magistratu do burmistrza Feliksa Niedzielskiego który w pierwszą okupację pracował w starostwie, w wydziale paszportowym i zaopatrywał nas w paszporty dla konspiratorów, zwłaszcza legionistów, którzy uciekali ze Szczypiorna. Gdy usłyszał, o co mi chodzi, powiedział: „Proszę bardzo, zameldujcie się zaraz, póki mogę, bo potem nie wiem, co będzie". Zameldowałem się więc u świeżo poznanej kumy, Anny Bryszewskiej na ul. Legionów.

* * *

W dniu 14 stycznia 1940 roku, o godzinie 20.30, siedzieliśmy przy stole całą rodziną: trzy córki, zięć Edward Jancz, który wrócił z wojny i narzeczony drugiej córki, Tadeusz Jasionowski, wzięty do niewoli, ale uciekł z synagogi w Piotrkowie. Zabawialiśmy się grą w loteryjkę. W pewnym momencie wchodzi z kuchni do pokoju żona i mówi, że przed oknami są jakieś ćwiczenia żołnierzy. Zgasiłem światło w kuchni i wyglądam, co co się dzieje na zewnątrz. Widzę, że żołnierze ustawiają się co parę kroków. A więc łapanka? Żona prosi, abym zabierał palto i uciekał. Całe Osiedle Montwiłła-Mireckiego było otoczone kordonem wojska. Wypadłem na ul. Srebrzyńską, napotykam ludzi powracających. Mówią, że na końcu bloków żołnierze nie przepuszczają nikogo. Ja jednak próbuję. Podchodzę do stojącego na jezdni żołnierza i mówię, wskazując ręką przed siebie: „Ich gehe nach Hause". Żołnierz usuwa się w bok i przepuszcza mnie Udało się! Tuż za osiedlem mieszkał brat żony, F. Rachubiński, do którego udałem się i przenocowałem. Na drugi dzień rano bratanica pobiegła na osiedle, żeby dowiedzieć się, co zaszło Wróciła z płaczem, cioci nie ma, a mieszkanie zapieczętowane. Zostałem sam, jak stałem. Dowiaduję się wreszcie, że wszystkich Polaków z osiedla przewieziono do fabryki Gliksmana na ul. Łąkową. Po 2 tygodniach przychodzi Tadeusz Jasionowski. Udało mu się uciec znowu z obozu. Postanowiliśmy włamać się do mojego mieszkania, mimo że opieczętowane było kartką z napisem: „Za zerwanie pieczęci grozi kara śmierci" to jednak życie jest silniejsze niż śmierć.

Mieszkania zasiedlali Niemcami bałtyckimi. Obserwowałem czy moje mieszkanie jest jeszcze nie zajęte. O godzinie 20.30 zaczynała się godzina policyjna, co mnie upewniło, że dzisiaj już nie wsiedlą nikogo. Zerwałem pieczęć i wraz z Tadeuszem weszliśmy do mieszkania (miałem drugą parę kluczy przy sobie). Umówiłem się z 13-letnim synem kolegi, aby o godzinie 6 rano podjechał sankami pod okno w kuchni. Gdy weszliśmy do mieszkania, w ubraniach i butach położyliśmy się do łóżek, bo mróz przekraczał 30 stopni. O godzinie 1 w nocy, gdy się uciszyło, zerwaliśmy się i po omacku, nie zapalając światła, zaczęliśmy napychać worki bielizną i pościelą. Gdy nadjechał chłopiec, wyrzuciliśmy worki oknem. Tak więc udało nam się „ukraść" trochę własnej bielizny i pościeli. Rodzinę trzymali w obozie na Łąkowej sześć tygodni, a potem wywieźli do Opoczna, skąd chłopi porozbierali wszystkich do siebie. Moją rodzinę zabrał gospodarz z Bratkowa, Dzianach. Ja w tym czasie tułałem się po przyjaciołach, którzy mi bardzo współczuli, żywili i użyczali noclegu. Najwięcej przebywałem u państwa Aniołkiewiczów. Gdy dostałem list od żony z Bratkowa, na święta wielkanocne przekroczyłem „zieloną granicę". Tu zorientowałem się w warunkach i jakoś nie leżało w mojej naturze, aby być na opiece nie za bogatych rolników. Wróciłem więc do Łodzi i poprosiłem ob. Bartoszewicza o przeniesienie do roboty organizacyjnej w Protektoracie. Wybrałem Łowicz z uwagi na to, że mam tam dużo znajomych i łatwo mi będzie zorganizować POB. Tak więc z nominacją komendanta obwodu wyjechałem, wyposażony w 50 zł polskich i 20 marek niemieckich oraz obietnicę przydzielenia mi maszyny do pisania. Umówiliśmy się, abym informował go listownie (umówione znaki) o przebiegu pracy. Po wojnie opowiedział mi, że kartę ode mnie otrzymał.

* * *

Zaraz na drugi dzień po przyjeździe do Łowicza spotkałem znajomego z dawnych czasów, który oznajmił mi, że mają zorganizowaną grupę TOW (Tajne Wojsko Polskie), ale na razie są grupą „dziką", ponieważ nie mają kontaktu z żadną centralą. Zapewniłem go, że mam ten kontakt. Wyznaczyłem zebranie na drugi dzień, które odbyło się w mieszkaniu chorążego z 10 pułku, Jana Gawrona, przy ulicy Ułańskiej. Stawili się wszyscy. Zresztą znali mnie z pierwszej wojny, a tym samym darzyli zaufaniem. Po zreferowaniu celów i zadań odebrałem od nich przysięgę. Tak powstała Polska Organizacja Bojowa (POB) na powiat łowicki. Kadrę zatem miałem gotową. Podzieliłem Łowicz na dwa rejony A i B, a każda gmina samodzielny rejon: C,D itd. Pseudonimy zaczynały się od litery rejonu, np. „Adam", „Aniol", „Anka", „Bzura", „Boryna" „Bachus" itp. Rejonowym podyktowałem szyfr i praca organizacyjna zaczęła się rozwijać w szybkim tempie. Bardzo zdolnym, zdyscyplinowanym i ofiarnym dla sprawy okazał się chorąży Gawron, pseudonim „Boryna". Postarał się o maszynę do pisania — prezent od znajomego Żyda, dla organizacji, z życzeniami, aby dobrze jej służyła.

Kupiłem zaraz hektograf i zacząłem wydawać biuletyn, informując i podtrzymując na duchu społeczeństwo. Mały aparat radiowy dostarczył ob. Szczepan Bogusz. Doskonałą praktykę w tych sprawach wyniosłem z czasów pierwszej okupacji. Pracę na maszynie i powielaczu powierzyłem mojej sekretarce, żonie inż. Tadeusza Lendziona, ps. „Anka". Rejonowym w Nieborowie mianowałem bardzo zdolnego nauczyciela, Witolda Więcka ps. „Delfin"; cała gmina miała pseudonimy na literę D. Przed wojną Więcek prowadził zespół objeżdżając kraj z „Weselem Łowickim". Przychodzi pewnego razu do mnie oznajmiając że książę Edmund Radziwiłł pragnie wstąpić do organizacji, prosi więc, abym przyjechał do Nieborowa w celu zaprzysiężenia księcia. Pojechałem. Ob. Radziwiłł już czekał na mnie. Po przedstawieniu się i przywitaniu, zapytałem go czy pragnie wstąpić do naszej organizacji. Potwierdził. Zapytałem przeto, jak sobie wyobraża współpracę z nami? — Będę wykonywał, co mi każecie. Pomyślałem trochę i odpowiedziałem, że osoba jego jest za bardzo znana, aby używać go np. do wysadzania mostów czy innych aktów dywersji, dlatego chyba najsłuszniej będzie, jeżeli na razie będziemy apelowali do jego skarbonki oraz korzystali z informacji (w pałacu rezydował sztab hitlerowski, liczyłem przeto na otrzymywanie potrzebnych nam informacji). Zgodził się. Odebrałem więc od niego przysięgę, nadając pseudonim „Drab". Widać było, że jest zadowolony. Zaproponował, że może na razie ofiarować naszym ludziom potrzebującym drzewo na opał. Dałem więc adresy ludzi, których uważałem, że są rzeczywiście w potrzebie. Po kilku dniach wozy naładowane drewnem ciągnęły w stronę Łowicza. Ludzie nasi byli bardzo podbudowani tym, że organizacja — w miarę możności — dba o ich sprawy bytowe. Do mnie przyjechał na bryczce sam ob. „Drab", z którym odbyliśmy godzinną rozmowę.

Po pewnym czasie przyszedł zatroskany „Delfin", oświadczając, że zostałem przeniesiony z Nieborowa do Bolimowa. Nie byłem z tego również zadowolony. Tak przecież dobrze układała się z nim współpraca tutaj Inspektorem szkolnym był Blum-Kwiatkowski. Wiedziałem, że jest to dobry Polak. Brat jego w czasie pierwszej okupacji był w sekcji szkolnej POW i brał czynny udział w rozbrajaniu Niemców. Poszedłem więc do inspektora, oświadczając, że jestem przedstawicielem organizacji, której nie jest na rękę przenoszenie nauczyciela Witolda Więcka do Bolimowa, bo jest nam potrzebny w Nieborowie. Inspektor, wysłuchawszy moich wywodów, oświadczył, że ma nad sobą Schulrata, Niemca, który w tych sprawach ma decydujący głos, a on musi wykonywać jego polecenia. Po roku, w Bolimowie nastąpiła wsypa, między innymi „Delfin" został aresztowany i wszelki ślad po nim zaginął.

Rejonowi w gminach pracowali ofiarnie, ludzi przybywało tak, że wkrótce staliśmy się najliczniejszą i najwartościowszą organizacją, mieliśmy najwięcej byłych wojskowych, co z zazdrością przyznawali ZWZ i POZ. Zawiadomiłem przeto ob. Bartoszewicza kartą pocztową (z umówionymi znakami) o sformowaniu 100 piątek. Odpowiedzi jednak nie otrzymałem. Kontakt zatem został zerwany. Wysłałem więc kuriera z zaszyfrowanym listem na bibułce, szwagierkę ob. Gawrona, z zaleceniem, aby, gdy zaistnieje niebezpieczeństwo, list zniszczyła. Nie wykonała zadania i kontaktu nie nawiązała. Postanowiłem zatem sam jechać do Łodzi. Przez Skierniewice, Koluszki, a stamtąd pieszo do Żakowic, przez granicę, gdzie już mogłem wsiąść do pociągu łódzkiego. Na miejscu dopiero dowiedziałem się o wsypie i aresztowaniach: Bartoszewicza, Jana i Maryli Aniołkiewiczów wraz z rodzicami i innych. Na szczęście spotkałem na ulicy Mieczysława Aniołkiewicza, który opowiedział o tragedii, dodając, że jego poszukuje gestapo. Radziłem w dość rozkazującym tonie, aby jechał ze mną. Może przecież zamieszkać u brata Czesława w Warszawie i ocalić się, bo z gestapo nie ma żartów. Nie usłuchał. W krótkim czasie złapano go i wraz z Janem zostali zamordowani w Oświęcimiu. Marylę wywieziono do obozu koncentracyjnego w Ravensbrueck, gdzie przebywała do końca wojny, a rodziców zwolniono. Bartoszewicz po wojnie wrócił z Oświęcimia. Wszelkie kontakty w organizacji były zerwane.

Wstąpiłem do mieszkania chorążego Szwarockiego, kawalera Orderu Virtuti Militari, z którym razem rozbrajaliśmy Niemców w 1918 roku. Gdy dowiedział się, że jadę do Łowicza, wyraził chęć pójścia ze mną. Dojechaliśmy do Strykowa pociągiem, a stamtąd pieszo do wsi Lubowidza, położonej na samej granicy z GG. Dostałem w Łodzi adres do jednego gospodarza, u którego można przenocować. Po zjedzeniu kolacji udaliśmy się do stodoły na spoczynek. Był miesiąc wrzesień 1940 roku. O brzasku wstajemy i w drogę. Jesteśmy na samej granicy, gdy po drugiej stronie granicy na wysokim wzgórzu rozpościera się wieś Szczecin, a na drodze kroczy żandarm z karabinem i wielkim psem. Szwarocki mówi: Uciekajmy. Odpowiadam: Nie. Gdzie możemy uciekać? — Idziemy prosto na niego, powiemy mu, że szukamy krawca Czerwca we wsi Zarębów i zabłądziliśmy, dopiero napotykany chłop powiedział nam, że tu jest granica, więc zawracamy. Z tym postanowieniem dochodzimy do żandarma, który już na nas czekał ze swoim psem, a ja po polsku recytuję mu ustaloną powiastkę. Hitlerowiec namyślając się, trzymał nas z dziesięć minut, nie mówiąc ani słowa. Po namyśle powiedział: Los... Prawdopodobnie nie chciał ryzykować legitymowania, bo było nas dwóch bez żadnych bagaży. Tak więc zimna krew uratowała nas od dalszych perturbacji...

* * *

Gdy już stałem się właścicielem mieszkania, przydzielonego mi przez burmistrza Niedzielskiego, postanowiłem sprowadzić rodzinę. Pojechałem więc, w czerwcu 1940 roku, do Bratkowa i zabrałem żonę oraz dwie córki. Mąż najstarszej córki, Jancz, pracował u leśniczego, prowadząc mu kancelarię oraz cechowanie drzew do wyrębu. Praca ta bardzo mi się podobała i obiecywał sobie, że po wojnie przerzuci się na leśnika. Toteż nie było sensu zabierać ich do Łowicza. Napisałem list do sołtysa z podziękowaniem za opiekę, prosząc o odczytanie przed gromadą. W Łowiczu zaczęliśmy urządzać sklep na nazwisko Marii Majewskiej (z przezorności nie chciałem afiszować się na szyldzie, tym bardziej, że byłem zameldowany gdzie indziej). Koledzy zaczęli mi meblować pokój. Gawron wstawił kozetkę, Leśniewski dwa krzesła, Lendzion okrągły stół na jednej nodze reszta umeblowania to przeróżne skrzynie i paki. Tak więc zaczynamy się rządzić na własnym gospodarstwie. Trzeba teraz urządzić sklep. Ułożyliśmy na półkach trochę pudełek od zapałek, kilka pudełek gilz do papierosów, kawę Enrillo itp. drobiazgów Nie otwieramy jednak sklepu, bo właściwie z czym? Czekamy na przydziałowy towar z magistratu.

Wreszcie przychodzi wezwanie wraz z listą konsumentów na 1.100 osób, aby wpłacić 4 tys. złotych do kasy i pobrać towar przydzielony na kartki, a ja nie mam ani grosza. Idę więc do przyjaciela Riedla, aby dał pieniądze, które obiecał. W magistracie, w zastępstwie burmistrza, urzęduje p Kutkowski, którego nie znam. Co robić? Idę znów do mieszkania Niedzielskiego, który, jak przedtem, obstawiony medykamentami leży w łóżku, a obok na krześle siedzi... jego zastępca. Zwracam się więc do nich ze słowami: Dobrze się składa, że zastaję tu obu panów, bo przychodzę do jednego z prośbą o pośrednictwo do drugiego: daliście mi mieszkanie ze sklepem, dziękuję. Daliście mi przydział kartkowy, bardzo dziękuję. A teraz dajcie mi pieniędzy na wykupienie towaru, bo nie mam ani grosza... Zaczęli się śmiać, a ja powiedziałem:

— Nie chodzi mi dosłownie o pieniądze, ale prośbę swą kieruję do pana burmistrza, aby zechciał zakredytować mi tę sumę, a po rozprowadzeniu towaru natychmiast wpłacę należność do kasy magistratu.

Niedzielski na to:

— Panie Kutkowski, niech pan wyda towar, jak on nie zapłaci, to ja zapłacę.

Nowy burmistrz wyraził zgodę. Stanowiskiem Niedzielskiego byłem bardzo rozrzewniony, bo prawdziwych przyjaciół poznaje się w potrzebie.

Na drugi dzień otworzyliśmy sklep i zaraz ustawił się ogonek, a przez półtora dnia towar został sprzedany. Pobiegłem natychmiast do kasy magistrackiej i uiściłem rachunek. Zarobiłem na tym 150 złotych. Z takim „kapitałem" zacząłem rozkręcać sklep... Na drugi miesiąc kredyt już [illegible] mi gładko.

* * *

Po raz pierwszy biorę udział w posiedzeniu zjednoczonego sztabu POZ. Zaskoczyła mnie miła niespodzianka. Pan Kutkowski również bierze udział w posiedzeniu. W czasie przerwy witamy się jak starzy, dobrzy przyjaciele. Mówi do mnie: Jest pan wysiedlony i na pewno jest mu ciężko. Proszę przyjść do mnie, do magistratu, to dam panu trochę kartek żywnościowych. Dostałem 150 sztuk. Uradowany, rozdzieliłem jedną trzecią część między potrzebujących naszych ludzi, a pozostałość użyłem do rozkręcenia sklepu. Na drugi miesiąc taka sama porcja. Teraz już rodzina była zabezpieczona, nie potrzebowałem się o nią martwić.

(cdn.)

CAMERATA, COCA COLA SHOW

Jest w telewizji magazyn pt. Camerata. Nie wiem co to dokładne znaczy, ale wiem tyle, że camera to po łacinie komora. Dlaczego więc red. Jan Krzyżanowski hołduje łacinie, a nie nazwie swojego magazynu po prostu „Ta komora".

Czytelnicy pomyślą, że zwariowałem, bo przecież słowo camerata jest znane na całym świecie jako termin muzyczny. Otóż, to nie ja zwariowałem. Po prostu magazyn „Camerata" wystąpił z donosikiem na Estradę Łódzką, a w donosiku naczelnym zarzutem było to, że na blankiecie firmowym Estrady pisze „Show business". Nie jest to co prawda, po łacinie, ale to też stosowany na całym świecie termin. Według „Cameraty" (przepraszam „Tej komory") kryją się za tym określeniem treści podejrzane.

W historii muzyki znana jest „Camerata florencka" — grupa florenckich muzyków, uczonych i pisarzy w XVI wieku, którzy sobie dyskutowali nad stworzeniem nowego stylu muzycznego. „Camerata warszawska" nie dyskutuje, lecz gromi i radzi zakazać. „Niech ministerstwo wejrzy dokładniej w działalność..." i tak dalej. Z dyskusji „Cameraty florenckiej" narodziła się opera — z pokrzykiwań „Cameraty warszawskiej" narodzić się może tylko zakaz używania słów „Show business", bo się za nimi kryją podejrzane ponoć treści.

No cóż, można i tak. Moim zdaniem na przykład (Jan Krzyżanowski pamięta te czasy) za butelką „Coca coli" też się mogą ukrywać treści wątpliwe. Tylko czy ktoś w to naprawdę uwierzy?

Oczywiście Targi Estradowe mogą się podobać lub nie podobać — „Camerata" ma prawo je krytykować, jak każde publiczne działanie. Tylko, nachodzi mnie wątpliwość czy reporterzy Magazynu rzeczywiście dobrze widzieli. Bo jakoś nie dostrzegli tłumów łodzian przed Halą Sportową, przed Filharmonią, przed Teatrem Muzycznym... Sfilmowali natomiast jeden z przeglądów targowych, na który nie sprzedawano biletów, bo był to program dla zaproszonych na Targi gości. Sala była pełna, na parterze siedziało ok. 300 widzów, na balkonie jeden... Parteru nie filmowano, tylko tę jedną panienkę na balkonie, podbudowując obraz komentarzem, że na sali tylko jeden widz. Ale gdyby nawet machnąć ręką na ten nieuczciwy chwyt operatorski, to i tak problem tkwi gdzie indziej.

Część przeglądów targowych przeznaczonych dla gości, pomyślana była jako o f e r t a instytucji, która program na Targi przysłała. Jeśli nie było widzów — znaczy oferta nie została przyjęta, ale jeśli na parterze siedziało — powiedzmy — dziesięciu przedstawicieli Wojewódzkich Domów Kultury czy Gminnych Ośrodków Kultury, to być może „kupili" oni ów program. Cały problem nie tkwi przecież w pustawej sali na jakimkolwiek przeglądzie targowym.

Reporterom „Cameraty" wszystko się pokręciło. Myśleli, że są na festiwalu w Sopocie, albo w Opolu i zamiast zrozumieć sens i założenia Targów, patrzyli na widownię, gdzie była tylko garstka tych, co widownię dopiero z o r g a n i z u j ą. Wszystko to było prosto i przystępnie wyłożone w materiałach udostępnionych dziennikarzom, ale reporterzy „Cameraty" nie lubią widać ani czytać, ani słuchać. Wystarcza im w i z j a, bez wnikania, co się za nią kryje.

Nie mam pretensji do „Cameraty", że im się Targi nie podobały. Rzecz gustu. Ale chyba można mieć pretensje o nieuczciwe tricki operatorskie. Nie dziwi krytyka niektórych programów, bo zdarzały się wśród nich bardzo słabe, dziwi natomiast, że zbulwersowały warszawskich gniewnych słowa „show business"... O ton i osobliwy smrodek komentarza, już się nie spieram — każdy ma taki ton, na jaki go stać.

A o co w ogóle chodzi? Otóż niedawno Związek Autorów i Kompozytorów Rozrywkowych zaatakował szefa radiowej i telewizyjnej rozrywki (inna rzecz, że ze śmiesznych pozycji) za propagowanie na antenie muzyki zachodniej. Szefem tym jest redagujący „Cameratę" Jan Krzyżanowski.

Tak więc teraz Jan Krzyżanowski z gorliwością neofity rzucił się z pazurami na „show business" i śpiewającego po angielsku Wojciecha Kordę. J e d y n e g o piosenkarza śpiewającego na Targach j e d n ą piosenkę angielską w ciągu c z t e r e c h dni trwania Poltestu. Tak więc oczy telewizyjnych kamer szukały na koncertach Poltestu nie tego, co istotne, lecz tego, co by mogło podbudować założoną z góry fałszywą tezę.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

HORACY SAFRIN

Myśl ta mu z powiek spędza sen:
„Ach, czy ja jestem La Fontaine?"

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SZEŚĆ PO SIEDEM

W każdym języku istnieje multum zwrotów czy idiomów prawie że nie przetłumaczalnych. Stanowią największą trudność dla tłumacza i największy urok dla poligloty, są skrótem, kodem, szyfrem do całych pokładów obyczaju i mądrości narodu, który je przez wieki wypracował.

Zwrotów się nie tłumaczy, ani się ich nie wietrzy i nie rewiduje. A szkoda. Czasem jedno przekorne złamanie idiomu uświadamia nagle, że w obyczajach nastąpiły już dawno zmiany domagające się nowego wyrazu. Czy ktoś — dla przykładu — płaci komuś naprawdę „pięknym za nadobne"? Skąd! Najczęściej płaci wstrętnym za ohydne, ale musiał na to wpaść dopiero Daniel Passent, parodiując w swym felietonie w „Polityce" stosowany bezkrytycznie nieaktualny zwrot.

Celny eksperyment Passenta zachęcił nas do dalszych prób w tym zakresie. Czy często sprawdza się dziś takie sobie powiedzonko: „płaszcz leżał na nim jak ulany"? Czy nie częściej należałoby mówić: leżał na płaszczu ululany? Albo — jeśli ktoś jeszcze idzie „Przez życie z wysoko podniesioną głową", to czy nie więcej jest takich, co idą z nisko opuszczonym siedzeniem? Zwłaszcza, jeśli mają na sobie spodnie spod igły „krawca dla milionów", czyli kluczowego przemysłu odzieżowego?

Może niekiedy ktoś komuś „patrzy prosto w oczy". Częściej jednak patrzy krzywo w nos.

Ktoś „wylewa dziecko z kąpielą", ale iluż jest takich, co wylewają dziecko razem z żoną i teściową?... Proszę bardzo, poszukajcie dobrze dookoła siebie, a znajdziecie wiele jeszcze takich mutacji, dojrzałych do przyjścia na świat. Tylko nie idźcie na łatwiznę, jak ten pan, co zamiast pleść trzy po trzy — plótł sześć po siedem i w ogóle gadał coś ni w pięć ni w dwadzieścia cztery.

Czytałem notatkę w prasie, zaczynającą się tak: „Francuzi — mimo dużego zamiłowania do dobrych i obfitych posiłków — wydają na żywność mniej niż obywatele większości krajów wysokoprzemysłowionych. Żywność odgrywa największą rolę w budżecie rodzin włoskich (26,5 proc. dochodów przeznaczonych jest na produkty spożywcze)". Wynikałoby z tych słów — a tym bardziej z całej notatki, której tu nie możemy in extenso cytować, że Włosi są większymi żarłokami niż Francuzi, a dalej — że największym żarłokiem byłby ten, kto by cały swój dochód wydawał na żywność. A to przecież jest także mniej więcej sześć po siedem. To jest nieprawda. Prawda jest, że ten, co by wydał wszystko na żywność, nie jest żarłokiem, tylko po prostu skrajnym nędzarzem, którego nie stać na nic więcej poza zoologicznym minimum dla utrzymania się przy życiu. Francuzi nie wydają na jedzenie mało „mimo dużego zamiłowania do obfitych posiłków", tylko wystarczy im wydać małą część dochodu dla zapewnienia sobie tych posiłków. Resztę przeznaczają na inne wydatki, a czym ta reszta jest większa — tym większy wskaźnik zamożności społeczeństwa 26,5 proc. w budżecie Włocha wcale nie świadczy o największej roli żywności; w wielu krajach świata i Europy wskaźnik ten jest bez porównania wyższy i kraje te robią co mogą, żeby go jak najszybciej obniżyć i zbliżyć do włoskiego, nie mówiąc o francuskim.

Jak widzicie — jesteśmy dziś przy tematach nader zasadniczych, czyli zaczynamy nowy rok raczej na poważnie. Więc jeszcze przytoczę parę słów z reportażu o dzisiejszej Hiszpanii, jako że mówiąc o jakiejkolwiek, choćby najdalszej części świata, ciągle przecież odnosimy wszystko i kojarzymy z naszymi własnymi sprawami. Oto właściciel fabryki opakowań w Barcelonie martwił się, że zainstalował najnowsze maszyny i urządzenia zachodnioniemieckie, pracuje na zachodnioniemieckiej licencji, na identycznym surowcu, a wydajność ma taką, że wychodzi mu 26 sztuk na godzinę, podczas gdy w identycznej fabryce w RFN — 60 sztuk. — Jak pan to robi? — pytał niemieckiego dyrektora, na co ten poradził mu zapytać samych robotników. Hiszpan poszedł więc na halę produkcyjną i zastał tam... samych Hiszpanów! „A więc tajemnica tkwi w organizacji pracy" — zakończył sprawę nasz reporter, zbierający ciekawostki po świecie. Myślę, że ten wcale nienowy wniosek został tym razem tak kapitalnie zilustrowany, że warto było tutaj całą historyjkę opowiedzieć.

Życzmy więc sobie genialnych organizatorów na co dzień, w każdym miejscu pracy. Nie poskąpimy dobrej woli, rzetelnego wysiłku, zrozumienia, staranności. Będziemy mieć znojny, ale dobry Nowy Rok.

ĆWIEK

BILANS

Po jednych 365 dniach przychodzą drugie 365 dni, z wyjątkami w roku przestępnym, kiedy to miesiąc luty ma 29 dni, co zdarza się co 4 lata. I tak rok mija po roku. A kiedy następuje to mijanie ludzie sporządzają bilans. Dokonują oceny tego, co zrobili, zastanawiają się nad tym, jak to zrobili, czy dobrze pracowali i myślą o tym, co trzeba zrobić w nowym roku. Chcą po prostu wiedzieć, czy mają podstawy, aby być zadowolonymi z siebie, czy nie. Ja zachęcałbym raczej do tego, aby szukać dziury nawet w całym, bo to więcej mobilizuje niż samozadowolenie, które czasem prowadzi do zawrotu głowy od sukcesów, usypia i zamazuje ostrość widzenia rzeczywistości.

W każdej ocenie powinna być ostro odbita rzeczywistość. Oczywiście, oceniający ma prawo do dowolnego rozkładania akcentów. Może na przykład bardziej wyeksponować wszelkie dziury, czyli braki, niedociągnięcia, zahamowania, przeszkody i temuż podobnie, a może je stonować, tylko wspomnieć, aby uwypuklić to wszystko, co może służyć do zadowolenia. Wszystko zależy od tego, czemu ma służyć taka ocena. Ja na przykład proponuję ocenę, w której chciałbym zawrzeć wszystkie, albo prawie wszystkie sprawy, o jakich nie chciałbym pisać w nowym 1978 roku.

Nie chciałbym pisać o komunikacji. Wprawdzie przyszedł nowy minister komunikacji, który zresztą jest starym ministrem komunikacji, bo już raz tę funkcję piastował, ale ja nie bardzo wierzę nawet w najgenialniejszych ministrów. A nie wierzę dlatego, że minister może z siebie żyły wypruć, a sprawne funkcjonowanie komunikacji zależy również od dróżników, maszynistów, konduktorów, zawiadowców, kierowców, sprzątaczek, dyspozytorów i całej reszty oraz od jakości sprzętu jakimi się oni w swojej pracy posługują. Minister może wprawdzie uzyskać fundusze na zakup sprzętu, na modernizację szlaków komunikacyjnych, ich rozbudowę, ale ci wszyscy ludzie muszą się jeszcze nauczyć rzetelnie i dokładnie tym wszystkim posługiwać. Nawet najbardziej elokwentny minister nie potrafi mi wytłumaczyć, choć będzie się starał dlaczego pociągi PKP i autobusy PKS ruszają na trasę już z kilku lub kilkunastominutowym opóźnieniem.

Nie chciałbym też pisać o telekomunikacji, o telefonach zwłaszcza, gdyż tu dzieje się podobnie jak w komunikacji. Wiadomo, że w wielu okręgach kraju stan telefonizacji znacznie poprawił się. Mamy już automatyczne połączenia międzymiastowe i zagraniczne również, ale nie wszędzie jeszcze i nie wszyscy. Na telefon czeka się latami. Daniel Passent przyznał się w „Polityce", że czekał aż 5 lat, co powinno wysoce satysfakcjonować wszystkich dziennikarzy, którzy do tej pory nie mają telefonów i czekają już — powiedzmy — 3 lata. Telefon dla nich wyłoni się z mgły — powiedzmy — za 2 lata, jako że mniej od Daniela Passenta z „Polityki" czekać na telefon nie wypada. A zresztą, co tu owijać w bawełnę — wiadomo: nie ma kabli i już. A same dobre chęci na nic nie przydadzą się, więc i pisanie o telefonach nie przyniesie żadnego pożytku.

Nie chciałbym też pisać w tym 1978 roku, który nie wiadomo jaki będzie, ani o organizacji pracy, ani o tu i ówdzie produkowanych bublach, które później zalegają magazyny i sklepowe półki. O marnotrawstwie surowców i energii też nie chciałbym pisać. O bezmyślności — również. O sięganiu lewą ręką do prawego ucha — tudzież. To sięganie lewą ręką do prawego ucha jest — oczywiście — przenośnią, ilustrującą pewne metody działania niektórych ludzi i niektórych instytucji.

Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi taką anegdotkę. Jedzie kierowca elegancką drogą. Nagle widzi napis: „Uwaga! 500 metrów dziura! Jedź ostrożnie!" — Jedzie dalej i widzi następny napis: „250 metrów dziura!". Jedzie dalej i widzi kolejny napis: „Uwaga kierowco! 100 metrów dziura!" Omija tę dziurę i zastanawia się: — czy nie było prościej dziurę załatać?

Nie chciałbym pisać też o ruszającej się od lat płycie chodnikowej na ulicy Piotrkowskiej 96 tuż przed „Delikatesami". Nie dlatego, że na tej dziurze swego czasu złamał rękę Stanisław Ibis-Gratkowski z „Karuzeli", a w ubiegłym roku ja tam złamałem rękę. Nie, wcale nie dlatego. Ot po prostu interesują mnie sprawy trochę większe niż dziura w chodniku, którą można od dawna zreperować, bo się o nią wszyscy potykają.

Nie chciałbym również pisać o tym, że nas o różnej porze aura zaskakuje. Nie chciałbym...

To o czym ja w ogóle będę pisał w 1978 roku? Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja po prostu sporządzam bilans roczny, który składa się z moich pobożnych życzeń. A życie i tak dostarczy mi mnóstwo różnych spraw, które nas gniewają, gniotą niczym kamyk w bucie, przeszkadzają, uwierają i spać nie dają. Felietony biorą się najczęściej — i tak być powinno — ze sprzeciwu, z gniewu, z troski o to, aby było lepiej. A ta troska nie opuści nas również i w 1978 roku. Mój bilans też się bierze z tego. Chciałbym, aby było lepiej we wszystkich dziedzinach życia, aby znikały nasze wady i przywary, ale przecież zdaję sobie sprawę z tego, że nie znikną z upływem 1977 roku. Będzie więc o czym pisać. Niestety.

MARCIN RODAK

O POSTĘPIE SPOŁECZNYM

Do sięgnięcia po książkę Bronisława M i s z e w s k i e g o „Postęp społeczny" (PWN 1977) skłoniły mnie dwa względy. Pierwszy to, że zajmując się dziejami myśli historycznej nie mogę nie interesować się tym wszystkim, co pisało się i pisze na temat różnorodnych koncepcji postępu, z których wiele przecież miało istotne znaczenie dla rozwoju ludzkiego historycznego myślenia. Drugi wzgląd był odmiennej natury: książka ta doczekała się niezmiernie krytycznej oceny na łamach warszawskiej „Polityki", tak ostrej, że aż zachęcającej do skonfrontowania uwag recenzenta ze spostrzeżeniami, jakie można wynieść jedynie z własnej lektury tej pracy. Przeczytanie książki nie doprowadziło mnie do wniosku, że mamy tu do czynienia z ewidentnym naukowym arcydziełem. To prawda, tak samo jak prawdą jest, że nie odnoszę wrażenia, by rzecz była aż tak chybiona, jakby to wynikało z recenzji znakomitego warszawskiego tygodnika.

O co w tej książce chodzi? Nie jest to rzecz o historii idei postępu, nie ma ambicji wdawania się w tę złożoną problematykę, zaś rozdział jej poświęcony nosi jedynie charakter wprowadzenia i jako taki został skreślony — jak powiedzieliby historycy — w oparciu o informacje „z drugiej ręki", bez sięgania do źródeł. Jest to praca o zagadnieniu postępu społecznego przede wszystkim w świecie współczesnym. Można mieć różnorodne zastrzeżenia co do tego, jak autor określa przedmiot swej refleksji, można mieć doń pretensje, że niezbyt wyczerpujący jest zaprezentowany przezeń katalog „składowych" postępu społecznego. Nie można jednak zaprzeczyć, że autor pokusił się o ogarnięcie zagadnienia niezmiernie istotnej wagi, problemu o dużej aktualności. Jako czytelnik o odmiennym, aniżeli autor, ukierunkowaniu zainteresowań, miałbym do B. Miszewskiego pretensję za to, że moim zdaniem zbyt wyraźnie odwołuje się on do uproszczonego, w mym przekonaniu, pojmowaniu kategorii materializmu historycznego i podtrzymuje jednostronną — wywodzącą się z fradycji Karola Kautsky'ego — interpretację, uznającą w zasadzie jednokierunkowy charakter zależności nadbudowy ideologicznej i świadomości społecznej od bazy społeczno-ekonomicznej. Czytelnik tej książki odnosi bowiem nieodparte wrażenie, że dla autora nośnikiem zmian rzeczywistości jest niemal wyłącznie sfera ekonomiki, zaś wszystko, co się w niej nie mieści, oddziałuje na proces historyczny najczęściej hamująco. Zgoda, że gdzieniegdzie znajdzie się i deklaracja, iż autor dostrzega dialektyczne skomplikowanie procesu historycznego, nie przesłania to jednak ogólnej wymowy spojrzenia na to zagadnienie. Z drugiej strony w rozważaniach na temat marksistowskiej koncepcji postępu społecznego nadzwyczaj mało poświęcono uwagi jej powiązaniu z teorią formacji społeczno-ekonomicznych. Zagadnienia te, tak dziś gorąco dyskutowane w marksistowskim piśmiennictwie historycznym i filozoficznym, z pewnością mogły tu znaleźć szersze i bardziej adekwatne omówienie.

Autor książki chce powiedzieć, bardzo wiele, w związku z czym śmiało wkracza na obszary, gdzie — śmiem twierdzić — jego kompetencja jest raczej ograniczona. Dla przykładu: w ustępie zatytułowanym „kilka uwag o literaturze i sztuce" — na szczęście bardzo krótkim — dał B. Miszewski katastroficzny obraz upadku literatury i sztuki w krajach kapitalistycznych, wypowiedział się jednoznacznie na temat antypowieści, plastyki niefiguratywnej, współczesnej muzyki i tak dalej, dając upust swym własnym pasjom raczej, aniżeli prezentując analizę zagadnienia. Takich i tym podobnych, naprawdę nieudanych ustępów, jest w tej książce niemało.

Ale przecież nie one tworzą całość tej dyskusyjnej pracy. Wczytajmy się dokładniej w to, co autor miał do powiedzenia o sprawach, których rozważeniu poświęcił blisko połowę swej książki: o problemach postępu społecznego w socjaliźmie. Że sprawy to ważne i aktualne, temu chyba nikt nie zaprzeczy. Że zaś autor pokusił się o próbę ich całościowego rozpatrzenia, formułując przy tym szereg niestereotypowych poglądów, to z pewnością względy, które winny zaważyć na ocenie całości książki. Nie są bynajmniej banałem rozważania autora o związkach między tempem i efektywnością postępu społecznego w ogóle, a równomiernością postępu w różnych dziedzinach życia społecznego, o znaczeniu postępu politycznego i tak dalej. Nie tylko na dostrzeżenie, ale na baczną uwagę zasługują wreszcie refleksje B. Miszewskiego o społecznym znaczeniu funkcjonowania mechanizmów w sferze produkcji, wymiany, administracji prowadzące go do jakże aktualnej tezy, że „wszędzie tam, gdzie warunki instytucjonalne kształtują klimat podrażnienia, niechęci, nienawiści, czyni się krok wstecz na drodze rozwojowej socjalizmu". Nie bez znaczenia są wreszcie rozważania autora o krytyce, jako warunku postępu społecznego, nie tylko akcentujące doniosłość krytyki w warunkach socjalizmu, lecz również zawierające ostre sformułowania, wymierzone przeciwko praktykom lakierniczym. Bo oto pisze B. Miszewski: „wrogiem socjalizmu jest nie ten, kto krytykuje błędy i niedociągnięcia, choćby nawet obiektywnie nie miał racji, lecz ten, kto ze względów oportunistycznych przechwala rzeczywistość zawsze przecież wymagającą ulepszeń. Oportunizm jest szczególnie trudną do przezwyciężenia przeszkodą w postępie społecznym. Pogłębiająca się demokratyzacja, pełna swoboda krytyki pozytywnej, czynna postawa wobec wszelkich problemów życia społecznego stanowią nie tylko integralne składniki socjalistycznego systemu politycznego, ale jednocześnie nieodzowny warunek i przesłankę postępu".

ANDRZEJ F. GRABSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652-44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł. kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2722, W-11.